Paweł Staśko

Paweł

Sabath życia

Powieść współczesna
w dwóch tomach

Tom II.

Kraków 1917

mógł w świat zaprzedać i zagubić... Albo do pałacu swego porwać i uczynić z was swoje hetery, wśród perskich dywanów i makat uwięzić, jako poddanki... Ten człowiek — to Dolański... — nachylił się do nich, tajemniczo wymawiając to imię. Źrenice poczęły mu biegać w orbitach prędko i niespokojnie. — To straszny człowiek, okrutnik!... Dawno już temu, dawno, a właściwie... już nie pamiętam nawet kiedy... — zastanowił się na chwilę — on porwał takie młode dziewczę, jako ty Zosiu — porwał, mimo jej uporu i płaczu, pomimo obrzydzenia, jakie czuła do niego i uwiózł daleko, daleko, aż tu... I tu ją zamknął w komnatach, uwięził, jako rozkoszne ptasze — do dziś dnia... I ona tu jest, powiadam wam, jest jeszcze i będzie już chyba do śmierci... Och, jak mi jej żal — Zosiu, ona miała takie długie warkocze, jako i ty, takie same jedwabne, bogate... I tak spływały jej na plecy dwoma strużkami, tak... pokaż, Zosiu, och, jakby to były jej włosy... — ujął w dłonie warkocze córki i przycisnął do ust. Począł całować je gorąco, namiętnie. Ręce roztrzęsły mu się, jak paralitykowi, który się ima wielkiego wysiłku.

Przestraszona Zosia, nie wiedziała co począć, widząc nagły ruch ojca. Chciała w pierwszej chwili zerwać się i uciekać, ale poznała zaraz, żeby to było nierozsądnie. Jakiś dziwny rumieniec oblał jej lica, że zaczerwieniła się, jak piwo-

nia. Na szczęście ojciec puścił jej warkocze za chwilę i, schowawszy twarz w dłonie, wybuchnął tłumionym płaczem.

— On ją mnie zabrał, mnie, ten okrutnik!... I mnie, sierotę, sponiewierano, wyśmiano, żem musiał na kraj świata uciekać...

Zosia, ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, poczęła uspokajać ojca, co jej się łatwo udało. Miała na niego jakiś szczególniejszy, uspokajający wpływ. Umiała przemówić doń w właściwy sobie sposób i uciszyć słodkiemi słowy.

Ossocki popadł teraz, jak zwykle po każdej rozmowie czy ataku, w głęboką melancholię, stał się milczący, jak głaz i nieczuły na wszystko. Utkwił bezmyślny wzrok w jakiś punkt i trwał w milczeniu wielkiem, jakby myślą przeżywał najodleglejsze wspomnienia i przejścia. Na zapytania Zosi i Anieli nie odpowiadał nic, zastygł w jakiemś odrętwieniu.

Biedne dziewczyny wyszły po chwili z ogródka, mając łzy w oczach.

Przez wszystkie lata podczas feryi siadywały o tej porze z ojcem w altanie, rozmawiano razem o różnych sprawach i cieszono się, chociaż Ossocki bywał przeważnie milczący i zawsze zamyślony.

Bywały jednak chwile, kiedy zapominał na jakiś czas o swem tajemniczem wnętrzu, bywał wesoły w gronie rodziny, opowiadał swoje cie-

kawe przygody z Ameryki — jednakże takie wypadki należały do rzadkości.

Jakże dziś było inaczej... Brakło tego najniezbędniejszego spokoju w domu, matka i brat byli przygnieceni zmartwieniem, które i im udzieliło się w zupełności. I dziś, dopiero drugi dzień, jak przyjechały, a już ten czas wydawał się miesiącem ciężkich, duchowych przejść.

Kiedy Ossockie wychodziły z ogródka, nadeszli ze wsi Zygmunt z Gąśliczem. Gąślicz zawezwany przez Zygmunta telegraficznie z miasta na sekundanta wyjechał z powrotem na trzeci dzień po pojedynku, obecnie zaś korzystając z kilkudniowego wolnego czasu, wpadł znowu do rodzinnego Olszowca, zwabiony przedewszystkiem spodziewanem przybyciem panny Zosi, w której się podobno podkochiwał. Nie wiedziano jeszcze o tem w szerszem kole, jednakże dla Zosi, jak i reszty jej domowników nie było to tajemnicą. Nie zwierzył jej dotąd swoich afektów, bo wiedział, że je Zosia podziela w zupełności — i tak kochali się bez oświadczyn, oczekując przyszłości, kiedy będą mogli powiedzieć sobie wspólnie: teraz czas, bądźmy już swoi.

Zosia czuła, że ten czas zbliża się coraz bardziej — w tym roku Władek miał skończyć już medycynę — że ta upragniona chwila biegnie do nich przyspieszonym krokiem i coraz szybsze tę-

tna serc pobudza w ich piersiach — cieszyła się niezmiernie na samo wyobrażenie tego obrazu, w którym widziała siebie, prowadzoną przez Władka kościelną nawą z długim, białym welonem...

Nigdy nie mówili pomiędzy sobą o swych uczuciach — oboje wyczuwali je aż nadto. Ta miłość, o której dziś mogli sobie powiedzieć, rosła pomiędzy nimi przez całe lata ich znajomości. Wyrośli obydwoje w jednej wsi, znali się prawie od dziecka, zżyli się z sobą i poprzyjaźnili w latach nauki, chociaż Władek był już w siódmej klasie, kiedy Zosię oddano do szkół. Nie było wakacyi, którychby nie spędzili razem w gronie miejscowej inteligencyi.

Tak więc przyjaźń pomiędzy nimi utrwalała się coraz mocniej, przykuwała ich do siebie nierozłączalniej i rozogniała nieznacznie miłość.

Od dwu lat pisywali do siebie w ciągu roku szkolnego — — były to listy ciepłe, serdeczne, ale zawsze w tonie przyjacielskim pisane. Wiedzieli, że to miłość stanowcza, prawdziwa, chociaż nie wyjawiana i cicha. Tak, była taka cichutka.

Władek starszy był od Zosi o lat siedm, ona w tej jesieni kończyła dziewiętnaście.

Widząc tych dwoje po raz pierwszy, nasuwała się myśl, że oni stanowczo dla siebie przeznaczeni. Jednaki temperament żywy, rączy, pra-

wie ognisty, natura na wskróś wesoła, zapalczywa, a przytem serdecznie dobra i szczera.

Bywało, iż nieraz wśród zabawy porwał ją Władek w objęcia, podniósł, jak piórko do góry, i, stawiając na ziemi przy ogólnym śmiechu, ucałował zamaszyście i gorąco. Inna rzecz, otrzymywał zwykle w zamian klapsa przez ramię, ucałował znów za niego rączkę — i na tem się zwykle kończyło.

Lubiano ich wszędzie, na każdej majówce, czy domowej zabawie, rozweselili całe towarzystwo, pobudzali do ustawicznego śmiechu i żywej wesołości — słowem, nadawali mu ton i zadowolenie.

Zosia była przystojną, a nawet uznaną za piękność. Szczególniejszego wdzięku i powabu dodawały jej olbrzymie blond włosy, które przeważnie miała zaplecione w dwa, do kolan sięgające warkocze. Blondyna, średniego wzrostu, o zgrabnej figurze i żywych, sarnich ruchach, podobała się ogólnie wszystkim.

Twarz niezmiernie miła, śmiejąca się różem i mlekiem, nosek, jakby stworzony do ustawicznej czujności, oczy duże, jasno-niebieskie patrzyły z pod łuków brwi z taką żywością, jak u młodej, niespokojnej łani.

Poznać było w niej prawie dorosłą już kobietę, bujnie rozwiniętą, tylko ta bujność czaiła się jeszcze w sobie nieśmiało, a niecierpliwie, jakby cze-

kając na jakiś zew, by się wydostać w całej pełni uroku, rozkwitnąć do ostatniego zwoju płatka.

Przy tych zewnętrznych zaletach miała serce, jak ze szczerego złota. To odziedziczyła widocznie po ojcu, jak i wesołość, którą pan Piotr odznaczał się za młodu.

Anielcia natomiast była żywem wyobrażeniem matki: nie wysoka, pulchniutka, jak pączek, i jako matka, szatynka. Miła, ujmująca, jakby jeszcze dziecinnością, chociaż siedmnaście wiosen przeżyła — wprawdzie, w pieszczotach i trosce matki. Powolność dobroduszna, mająca charakter miłego lenistwa, wzięła po matce w zupełności.

Jakkolwiek matka kochała córki zarówno, przecież do młodszej lgnęła bardziej, jakby je ich wspólne usposobienie przyciągało do siebie magnetycznie.

Zosia była więcej samoistna, nie tak wypieszczona, wybujała, jak młody pęd.

W każdej cząstce odpowiadała Władkowi. Ujęło go jej żywe usposobienie i ogień zewnętrznego powabu.

Gąślicz o rok starszy od Zygmunta, podobnej co i ten postawy, tylko szczuplejszy nieco, był na pierwszy rzut oka uosobnieniem zapalonego temperamentu.

Silny brunet, starannie z angielska wygolony, jak aktor, o śniadej cerze i niespokojnych ruchach ócz, które, zdawało się, iż zawsze myślą nad jakąś

łobuzowską psotą, lub lada chwilę wyrzucą przez zaciśnięte wargi jakiś nowy żart, albo-li śmieszne porównanie.

Bywało na porządku dziennym, że w prosektoyrum jakiemś komicznem porównaniem rozśmieszał całe grono słuchaczy i wytrącał z poważnej i skupionej pracy, za co spotykały go często nie bardzo miłe uwagi profesorów, jednakże zdolności jego i dowcip utrzymywały zawsze konieczną równowagę i zjednywały nawet ogólne uznanie i prawdziwie koleżeńską sympatyę.

Orli nos dodawał jego twarzy bystrości i mimo wesoły jej wyraz nawet powagi.

Teraz dostrzegłszy Ossockie, zapomniał o ich smutku i, zrywając kapelusz, dopadł do Zosi.

— Rany boskie, eviva Zośka!... — i, zanim miała czas się uchylić, porwał ją pod pachy i podniósł kilkakrotnie w górę. — Eviva Zosia, Zosieczka, Zosieńka kochana!... maturzystka, światłodawczyni vulgaris — eviva!... — postawił ją na ziemi zmieszaną i, ująwszy za rączkę, począł się dopiero witać. — Jakże się mamy, całe wiekim cię nie widział, rusałko — od święconego jajka i chrzanu, do dziś, ile to dni?... coś ze sześćdziesiąt sześć, czy więcej... Patrz się jakowym suchy — tak mię tęsknota żarła — i nie żal ci?... Och, wy kobiety... Spoglądnij Zosiu, jak zmizerniałem, oczy wpadły mi aż za łopatki, policzki całują się przez język tylko — — i ty nic

na to? Popatrz się Zygmunt jak wypiękniała... do zenitu już... liczka się śmieją i jakby wołały: chodźże tu Władku — buch, już jestem!... — pocałował ją nagle w policzek. Nie zdołała uniknąć całusa, zarumieniła się tylko, jak ranek i nie wiedziała co począć.

— Jakiś ty nieznośnik, jak uparta mucha, Władek, dej-że spokój... — prosiła, dąsając się nieco, bo tak naprzekor chciała.

— Co, mucha? I toż ja jestem do muchy podobny?... Ach, prawda, akurat: mam nogi, skrzydła — te oto klapy kieszeni, głowę przy kadłubie i czarnym, jak stara mucha — ech, Zosiu, czy to prawda koniecznie?

— Tak! — potwierdziła z miłym przekąsem.

— Gniewam się śmiertelnie!... — obrócił się teraz do jej siostry. — Całuję rączki Anielci... jakżesz, pierwsza jest?... naturalnie, mogłaby tylko nie być!... He, he, rumianiutka, pulchniutka, cacaniutka, słodziutka, filutka... — prawda, żem nawet poeta, esteta, tylko nie kobieta, taka jak Zosia, co się teraz dąsa... Zygmunt, wysadźmy ją na dach, ciekawym jakby tam wyglądała z tą minką...

— Władek, nie przestaniesz? — odezwała się Zosia słodkim już tonem, jakby rada chciała się z nim przekomarzać. Jednakże wesołość jej powstrzymał smutek z jakim wracała właśnie od ojca.

— Słucham pani nauczycielki, jestem posłuszny już... czem mogę służyć?

— Niech pan doktor, a raczej rzeźnik, będzie spokojniejszy i poważny...

— A może masarz, nie rzeźnik? — śmiał się, przedrwiwując.

— Władku... — popatrzyła nań, jakby z wyrzutem.

— No, już jestem poważny, jak miesiąc w pełni — naprawdę, Zosieńko. Toż opowiedz jak-eście przyjechały, co tam nowego w waszem stołecznem mieście, jako i w naszym Olszowcu... opowiedzcież przecież... U nas w Krakowie, moje kochane dziewczynki, jest dużo ciekawych rzeczy, przypuszczam, że tak i w waszej stolicy. Stawiamy w Krakowie pomnik Kościuszki, powiadam wam, że gigantycznych rozmiarów! Budują go już kilka lat, ale teraz dziura w sęku, gdzie go umieścić? Rynek za ciasny, Góry św. Bronisławy nieodpowiednie — i kłopot ma Kraków straszny. Zabrali go, niby ten pomnik, na strażnicę »fajermańską«, czy gdzieś tam — i myślą na razie wszyscy, co postanowić...

Widzicie, co ja wam tu już naopowiadał najaktualniejszych rzeczy, nastrujcież i wy muzę kobiecej gadatliwości...

— Władek, czy ty już dyplom lekarski otrzymasz przy takim humorze wiecznie trwałym? — przerwała Zosia, chociaż szalenie lubiła słuchać jego wywodów.

— Och, byś wiedziała Zosiu, nawet umierając — chociaż po sprawiedliwości lekarze umierać nie powinni — to jeszcze będę wierzgał nogami uciesznie i deklamował do taktu poemat: Był sobie bab i dziada...

Ogólny śmiech zawtórował jego słowom.

— Paradnyś Władku! — śmiała się Anielcia serdecznie.

— E, gdzie tam! Paradniejszą była ta nauczycielka, która, zastępując katechetę uczyła, że apostołowie nauczali nad jeziorem Gopłem... — tu spojrzał dwuznacznie na Zosię.

Znów rozległ się donośny śmiech; nawet Zygmunt, najsmutniej usposobiony, zaśmiał się w głos.

— Ej, Władku, coś to zapacha aluzyą... — domyśliła się Zosia i pogroziła mu paluszkiem.

Zawiązała się wesoła rozmowa, w której prym trzymał Gąślicz. Ossoccy zapomnieli chwilowo o domowem zmartwieniu i rozżartowali się na dobre, chociaż ich humor zdradzał co chwilę głębsze zastanowienie i niewesoły zamysł.

Ponieważ wieczór zapowiadał się jasny i ciepły, wrócono się z powrotem na wieś.

— Długo myślisz zabawić w Olszowcu? — pytała Zosia Gąślicza, idąc z nim w tylnej parze.

— Ze cztery dni, bo czasu brak. Egzamina na karku — skończy się wreszcie to jarzmo. Jesz-

cze rok przynajmniej praktyki, a później trzeba pomyśleć o samoistnej posadzie.

— Szkoda, że tak już prędko jedziesz... Nie mógłbyś się dłużej zatrzymać? — spojrzała nań prosząco i jakby z pewnym wyrzutem, że chce ją już opuścić.

— Wierz mi, żebym się teraz stąd nie ruszył, ale obowiązek, obowiązek przedewszystkiem. Miałem nawet teraz nie przyjeżdżać, ale wiedząc, że będziesz w domu, jak to pisałaś w ostatnim liście, wyszukałem pretekst, do tego dwa dni wolne, więc skorzystałem.

— Przecież ty Władku nie zapomnisz o mnie...

— Czy to nowość dla ciebie?

— Nie, ale widzisz...

— Żadne: widzisz, ale: słyszysz. Czy się od wczoraj znamy? Myślę, Zośka, że my się przecież dobrze rozumiemy...

— To prawda... — spojrzeli na siebie tak wymownie, że wzrok ich dopełnił reszty słów, jakich podobny temat wymagał może.

— No, widzisz, Zosiu, jak my się porozumiewamy spojrzeniem. Wiesz, że cię kocham od lat, jestem również pewny miłości z twej strony. Uzyskam samoistną posadę — trzas! ślub i weselisko i... poruszymy z posad ziemię... Eh, Zośka, żeby to było już dziś, rany boskie!... — popatrzył na nią ogniami źrenic, jakby ją pragnął przeszyć tym wzrokiem.

Zygmunt ze siostrą, idąc w pierwszej parze, obejrzał się poza siebie na wykrzyknik Gąślicza.

— Spokojnie tam dzieci, nie tak głośno... — strofował ich z uśmiechem.

— Nie alarmujcie wsi!... — wtrąciła Anielcia — i szli znów dalej, rozmawiając o ojcu. Właśnie opowiadała mu siostra o dziwnem ostrzeżeniu ojca przed Dolańskim.

— Hej, naprzód młodzi — odpowiadał na uwagę Władek — kto gorzkie życie przeszedł, niechże je sobie dziś osłodzi... Oda do zakochanych Kopernika.

Wybuchnęli znów głośnym śmiechem.

— Tak widzisz, Zosiu, po co to dużo gadać, płakać z miłości i marzyć do księżyca, albo od księżyca, wyć z rozczulenia, kiedy się i bez tego można kochać, a nawet sto razy ożenić. Żeby mię tylko Zygmunt nie ubiegł wcześniej ze ślubem...

— Jakto, Zygmunt ma się zamiar żenić? Mówże, Władek, co wiesz...

— Jeśli się kocha, to przypuszczam, że innego celu nie żywi.

— No i w kimże się zakochał — on, taka powaga?...

— Nigdybyś nie zgadła.

— Mówże już w końcu...

— Powiadam ci, że wybrał sobie królewnę — nawet bił się o nią, jak rycerz...

— Władek, zaciekawiasz mnie!

— Nawet bogdana jego nie daleko stąd — ile?... będzie może tysiąc kroków...

— Nieznośnyś! Któżby to taki?

— Powiem ci już: Kwieta Dolańska.

— Żartujesz...

— Słowo honoru.

— Ale gdzieżby Zygmunt tam sięgał... do magnatki?

— Nie wiesz, że miłość nie uznaje żadnych granic?...

— Chociażby... Ale dla panny Kwiety wyszukają księcia, a Zygmunt cóż?... agronom bez kapsy... Eh, ani mowy...

— A jeśli Kwieta kocha Zygmunta?

— Choćby najbardziej kochała, to musi trzymać się woli rodziców.

— A czy ty wiesz, że stara Dolańska nie ma nic przeciw temu?

— Władek... To wszystko bajka, jak mi się zdaje...

— Nieróbże ze mnie goryla, Zosiu. Jeśli ci mówię, więc to, co wiem. Zygmunt mi się zwierzył i zresztą widzę, co jest... Kwieta bywa u was codziennie prawie, czasem przychodzi z matką. Prawdopodobnie i dziś przyjdzie, Zygmunt zapewne się jej spodziewa, kiedy nie chciał iść w pole, tylko troszku na wieś. Jakto, w domu ci matka nic nie wspominała o Dolańskich?

— Owszem, mówiła, że w czasie choroby tatusia odwiedzali go Dolańscy, że sprowadzili konsylium, ale, że panna Kwieta przychodzi do Zygmunta, o tem mi nic nie wspominano.

— Jakto, i o pojedynku Zygmunta także nic nie wiesz?

— Jezus!... co ty mówisz, Zygmunt się bił?... Mówże z kim? O co?... — pewien przestrach odmalował się jej na twarzy, którą zwróciła na Władka i utkwiła w nim wzrok w bezruchu wielkiego zaciekawienia.

— Znasz przecież Henryka Ruczewskiego z Wołkowic?

— Zapewne.

— Otóż Zygmunt bywał u Dolańskich, zapraszano go i był tam również i Ruczewski. Kwieta, naturalnie kochając się w Zygmuncie i znając zarazem zamiary Ruczewskiego, więcej rozmawiała z Zygmuntem, co, prosta rzecz, nie podobało się Ruczewskiemu. Nie mogąc na kim innym wywrzeć złości, począł Zygmunta lekceważyć, pozwalać sobie na niestosowne aluzye, na co Zygmunt nie mógł pozwolić, boć naturalnie od słowa do słowa przyszło do sprzeczki, Zygmunt się uniósł i, nie zważając na perswazye Dolańskiego, wyzwał przeciwnika na pojedynek.

— Matko Boska, na jaką broń?... — przerwała Zosia, cała blada.

— Nie lękajże się, bo już po wszystkiem i wi-

dzisz, że Zygmunt żyje... Ruczewski wybrał rewolwery.

Zosia przerwała znów:

— Zapewne od kuli ma Zygmunt tę bliznę na lewym policzku?

— Tak.

— Pytałam się go, z czego to pochodzi, to zbył mię prawie milczeniem. Naprawdę, jaki on skryty...

— No i pojedynek odbył się na drugi dzień pod groblą. Ruczewski strzelił pierwszy i drasnął mu właśnie lewy policzek. Teraz przyszła kolej na Zygmunta, by strzelał. I wiesz, co ten waryat zrobił, jak postąpił? Ot, po pierwszy raz strzelił do góry naumyślnie, a potem wymierzył w kapelusz przeciwnika, leżący na ziemi — i trafił w samo dno. Zygmunt cudownie strzela i byłby mu łeb roztrzaskał, jak pomarańczę, ale gdzież tam... on chciał postąpić szlachetnie...

— Więc Ruczewskiemu nie zrobił nic?

— Zapewne, bo do niego nie strzelił, tylko mu w kapeluszu zrobił przewiew.

— Eh, jakam zła na niego za to!...

— Ojciec twój również był wściekły.

— Jakto, on to widział?

— Naturalnie; on był sekundantem i ja. Zygmunt dał po mnie depeszę do Krakowa.

— I czemuś mi ty o tem nie wspomniał nic w liście?

— E, poco było takie rzeczy ruszać... Tembardziej wiedziałem, że wkrótce przyjedziesz, to się dowiesz o wszystkiem.

— Nie dobryś, Władku...

— A wiesz, co się później stało z Ruczewskim?

— No?

— Paradna historya, którą tu wszyscy znają... Przejeżdżała ci przez Wołkowice wędrowna grupa cyganów i miała być podobno między nimi przepiękna cyganka. Ruczewski zakochał się w niej odrazu. Zwabił ją, mówiono, do lasu i tam chciał popełnić, nie wiem... dość, że na jej krzyk przybiegli cyganie i rzucili się na wyznawcę wolnej miłości... Ruczewski w czasie obrony strzelił, zranił cygana ciężko, że tenże na drugi dzień zmarł. Sprawa doszła do wiadomości władzy — zaczęto poszukiwać obwinionego, niestety, Ruczewski zbiegł zagranicę. Ma być podobno w Szwajcaryi. To wszystko rozegrało się w tych dwóch ostatnich miesiącach. Jak był pojedynek, już przeszło miesiąc, epizod zaś w wołkowickim lesie coś tydzień później.

— Boże!... I ja nic nie wiedziała... Zygmunt o niczem ani pisnął. Coś strasznego!... Życiem mógł przypłacić tę sprawę z powodu magnatki, która się może z tego śmieje...

— Nie mów tak, Zośka, bo rzeczywiście Dolańska kocha się w Zygmuncie do szaleństwa.

— To i cóż z tego, czy będzie jego żoną? Kocha się naiwnie, bo to jeszcze dziecko.

— Co? Anibyś jej nie poznała... Nie było jej w Olszowcu dwa lata, teraz z niej panna rozwinięta, wyrosła — śliczna kobieta. Tej samej tuszy co ty.

— No, a cóż mówi Dolański na to?

— On o niczem nie wie.

— Więc to wszystko w sekrecie?

— W sekrecie, nie w sekrecie, ale nie mówi się na razie głośno. Wprawdzie ja sam staram się wybić tę miłość z głowy Zygmunta, ale on nie da się ani tknąć. Powiada: albo ona będzie moją, albo mi śmierć! Jedno lub drugie. Niema się czemu dziwić, kochają się ogromnie. Nie dziwiłbym się może pannie Kwiecie, ale że się Zygmunt zakochał w tej uroczej bogaczce, choć widzi niemożliwość tego związku — to już zapewne musi nim powodować miłość nie zwyczajna. Inna rzecz, on walczył z sobą — było to widoczne z jego twarzy — mocował się w sobie, jednakowoż nie mógł przemóc tego uczucia.

— Zdaje mi się, że to będzie dla niego nieszczęściem... Nie nam się wdawać z arystokracyą, która ma swój świat, swą sferę, zapatrywania, koligacye... och, nie nam...

— W dniu pojedynku panna Kwieta przybyła za Zygmuntem na groblę. Może chciała przeszkodzić walce, ale przyszła zapóźno. Spostrzegliśmy

ją zaraz po strzałach. Leciała wprost do Zygmunta... Ruczewski chciał ją zatrzymać w drodze, ale nie spojrzała nawet na niego. Nienawidzi go, a on za nią przepada. Kiedy spostrzegła krew na policzku Zygmunta — struchlała... Trzęsła się, jak w febrze... ranę obmyła mu wodą... do domu wracaliśmy razem. I wiesz co spotkało nas w drodze? — zapytał z uśmiechem. — Zastała nas piekielna burza, o jakiej nie masz pojęcia! Deszcz lał, jak przy oberwaniu chmury; piorun rzępolił za piorunem, że coś strasznego! Zmokliśmy wszyscy do ostatniej nitki, że nam się z plec porobiły formalnie żleby górskie. Żal mi było tylko Kwiety, bo się nastrachała biedaczka, jak nigdy zapewne w życiu. Wyglądała, jak nimfa wodna... powiadam ci, że był to kapitalno-historyczny powrót... Wówczas prawdopodobnie ojciec twój przeziębił mózg, bo już coś w trzecim dniu się rozchorował. To było z pewnością powodem.

Przez chwilę szli w milczeniu. Ten biedak, który tam został w ogródku, jak skamieniały posąg nieszczęścia, stanął im w oczach w całej grozie. Nie wiedzieli, ile ten człowiek przeszedł w życiu, ile los nasmagał się go przez całą młodość, ile biczowań przetrwał wewnętrznych... wiedzieli tylko, że to już całe możliwe nieszczęście, jakie przygniotło go obecnie, bo śmierć chyba mogła być tylko wyzwoleniem, aniołem miłosierdzia.

Godzinę siódmą wybił zegar kościelny.

We wsi było prawie głucho, natomiast pola roiły się od jej mieszkańców. Pozostały tylko nieletnie dzieci, bawiące się po podwórzach i wałkach gościńca.

Słońce schowało się za drzewa, nie piekło, jak w ciągu dnia — przyjemnie było wokół.

Do zachodu było już niedługo.

Towarzystwo miało właśnie zawrócić ku domowi, kiedy z dworskiej drogi weszła na gościniec panna Dolańska.

Zygmunt pierwej ją wyczuł, niż zoczył.

Pies Largo baraszkował koło idącej, a spostrzegłszy Zygmunta, przybiegł doń z wesołem szczekaniem. Znał go już z codziennej wizyty, począł więc łasić się koło jego nóg, jakby z wielkiej uciechy, że go spotkał na drodze niespodziewanie. Zygmunt poklepał go po karku, co psu dodało jeszcze większej fantazyi.

Mimowoli na widok Kwiety serce Zygmunta przyspieszyło w tempie. Od onego błogosławionego wieczoru nie widział jej cztery dni. Bywali w odwiedzinach w sąsiedztwie, to mieli gości u siebie — nie mogła zatem przyjść. Doniosła mu o tem bilecikiem przez poczciwego listonosza Franciszka. Stęskniła się za nim, jakby się całe lata nie widzieli, nie mogła zebrać myśli, któreby nie tyczyły się jego.

Zauważono to u niej, pytano natarczywie o powód, na co otrzymywano wymijającą odpowiedź.

Matce tylko nie była obcą zmiana córki, ta jedyna zrozumiała ją w całości i może nawet roniła łzy z powodu szczęścia jedynaczki.

Ostatni wieczór z Zygmuntem stał się dla Kwiety wszystkiem: słodyczą myśli i błogosławieństwem spokoju serca.

Dziś w końcu dorwała wolniejszej chwili, wybiegła doń na moment, pędzona wichrem tęsknoty.

W pierwszej chwili zoczywszy go w towarzystwie kobiety, przystanęła na sekundę, jakgdyby kurcz niewinnej zazdrości powstrzymał ją na miejscu.

W tym razie Zygmunt powitał ją ukłonem i zeszli się razem.

— Zygmunt... — wybiegło jej nieopatrznie z ust, jak całe setki najsłodszych słów. Uczuwszy jego dłoń i bezkresne spojrzenie, zapomniała na mgnienie oka, że jest przy nich ktoś inny — nie powstrzymała tego drogiego słowa, wulkan serca wyrzucił je, jak błysk światła, nie dającego się niczem przytłumić, stęskniona dusza nie dała się pohamować i zastanowić. Lecz równocześnie prawie szepnął jej konwenans o niewłaściwem wyrażeniu — i zarumieniła się nagle. Wróciła jej zwykła przytomność i swoboda.

— Ach, panna Anielcia... pani już na wakacye? — podały sobie dłonie.

— Tak właśnie; przyszła nareszcie ta oczekiwana chwila.

— Jak pani dobrze pamięta moją siostrę — odezwał się Zygmunt, z nienaturalnym tonem słowa: »pani«.

— Nie widziałyśmy się wprawdzie dwa lata, ale przecież z panną Anielcią znałyśmy się dobrze. Nie pamięta to pan naszych majówek... naprawdę, gdzie te czasy się podziały?... Było zawsze takie liczne towarzystwo, tak my się bawili wyśmienicie...

— Och, prawda Zygmunt, żeśmy żadnych wakacyi nie próżnowali? — zwróciła się doń siostra. — Pani zaś nie było przez dwa ostatnie lata w Olszowcu...

— Kończyłam pensyę, znów podróżowaliśmy troszku...

Prawie Zosia i Gąślicz nadeszli.

— Wołamy, witamy w Olszowcu... — witała Zosię panna Kwieta.

— To raczej ja powinnam powitać, pani tak długo nie była na wsi...

Uścisnęły sobie dłonie serdecznie, jak przyjaciółki, które się długo nie widziały.

— Pan Gąślicz przyjechał również, towarzystwo się zjeżdża, myślę, że nie będziemy marnować czasu, ale korzystać z pięknych dni... — z kolei podała mu rękę.

— Tylko, niestety, dla mnie wakacyi jeszcze

niema. Muszę wyjechać co najmniej na miesiąc... egzamina...

— O, my na pana czekać nie będziemy, mamy jednego kawalera, pana Zygmunta, to nam na razie wystarczy... — żartowała z przemiłym uśmieszkiem i popatrzyła na Zygmunta.

— Och, biedny Zygmuncie!... dyć ty się rozpłyniesz, jak stearyna, wśród tylu bogiń sam jeden... — zawołał w głos Gąślicz.

— Powiadam ci, Władku, nie jedź, albo przyspiesz egzamina i wracaj co najprędzej... — doradzał w żarcie Zygmunt.

— No, widzi pan, jest rada...

— Namyślasz się, Władku, co zrobić? — spojrzała nań Zosia filuternie.

— Wcale nie, o, gdyby to ode mnie zależało, tobym się był już dawno doktorem mianował, albo co najmniej profesorem chirurgii...

— Pan widocznie specyalizuje się w chirurgii? — zapytała Kwieta.

— Tak, tak, z niego chirurg... — potakiwał Zygmunt — przewyższy może nawet słynnego Szindlera, morawianina...

— O, byś wiedział, że mam nawet wyższe aspiracye... Jak mi się w tym fachu nie powiedzie, to się rzucę na delikatny odcień tego samego fachu...

— Naprzykład? — zapytała Anielcia.

— Ot, stanę się weterynarzem... Zamiast ludzi, będę operował konie, psy, a nawet...

— Fe! — przerwała mu Zosia. — Anibym się nie zbliżyła do ciebie...

Powstała żywa wesołość, przeplatana śmiechem.

— A może tak ruszymy się na spacer? — zaproponował Zygmunt.

— Ja z chęcią — zgodziła się Kwieta. — Mam całą godzinę czasu.

— Ach, my chociaż do północy! — dodała głośno Zosia. — Ale gdzie się wybieramy?

— Chodźmy na Grodzisko — godziły się panie.

— Przepraszam! — zawołał Gąślicz — stawiam nagły wniosek w kwestyi formalnej.

— No, cóż tak nagłego? — zapytali prawie równocześnie i spojrzeli z ciekawością na niego.

— Nie mam nic przeciwko temu — owszem, możemy iść... — oznajmił uroczystym głosem i opuścił głowę.

Ruszyli z miejsca wśród śmiechu.

Miejsce, »Grodziskiem« zwane, był to dość okazały kopiec zaraz za wsią, pośród prastarych lip i dębów. Krążyła pomiędzy ludem legenda, iż był tam ongiś obronny zamek, o czem świadczyły jeszcze gruzy, pouplożone wokół — ślady wałów i szerokie, w kształcie pierścienia, fosy, zasypanej już prawie zupełnie ziemią, kamieniami i piargą zwietrzałej cegły. Nieznaczne szczerby murów, widniejące jeszcze z północnej i zachodniej strony

kopca, świadczyły o potężności budowli, zamienionej przez ząb czasu w mizerną ruinę. Wiatry posiały tu różne chwasty, kępami wzrosły głogi i tarnina na rumowisku uboczy — — czas zacierał powoli wszystko. Przed kilku laty były tu jeszcze dwie obszerne piwnice, w których, jak głosi wieść, znaleziono zbutwiałe beczki miodu, wiele różnorakiego żelaziwa niewiadomego użytku, kości ludzkie, kajdany, wmurowane w ścianę — — i te runęły powalone wiekiem, zapadły się, jak stary grób. Tysiące niewolników musiało pracować niegdyś, aby tu, wśród nieprzejrzanej równiny, usypać taki ogromny wał ziemi, wydźwignąć nań złomy kamieni, polepić je w potężne mury i baszty, wysklepić piwnice i krużganki, wymozolić rycerskie sale... Jak niemilknąca wieść, to miejsce opowiada o sobie, o swej potędze, sięgającej zamierzchłych czasów, o panowaniu rycerskiem i chwale, o okazałej możności... Musiały tu być walki z najeźdźcą, hordami łupieskich pogan, bo obronność zamku i jego położenie świadczą najwymowniej, iż nie była to zwykła rycerska siedziba, ale gród, stojący na straży wolności swej ziemi i jej narodu. Sędziwość lat, prastare dzieje, zapadły w próchno razem z oną strażnicą — czas skruszył mury, człowiek powycinał niezmierzone lasy i zaorał w zagony — wszystko usunęło się w jakąś otchłań, została tylko pamięć i bogata legenda... Jakby

duch dawnych wieków błąkał się tu po onem miejscu, bo biła zeń jakaś zasępiona powaga, jakiś grobowy urok i jakby majestat tego co było... Woda z obronnej fosy ściekła w najniższe miejsce, utworzyła bagnistą sadzawkę, pełną zielska i sitowia — obecna rezydencya żab i wodnego robactwa. Trawa zarosła gruz, jemioła i osty. Z pomiędzy tego chwastu wytrzeszczał ślepia tu i ówdzie złom muru kamień górski, lub krzem, jakby się lękał wychylić z swoją niemocą — czaił się więc z zamysłem o swej przeszłości, albo słuchał ćwierkania polnego świerszcza, co sobie pod nim wyszukał legowisko. Czasem tylko przybłąka się tu puszczyk, siędzie szarą nocą na omszałem rumowisku i zawodzi swoje żałosne: pójdź... pójdź... I wtedy zapewne — jak opowiada miejscowa baśń — wychodzi z podziemi czarny rycerz we zbroi, błądzi po kopcu zatopiony w myślach, a później siada na tarczy u szczytu kopca i spogląda uważnie ku czterem stronom świata... Widziano go tam już nieraz, jak błyskał zbroją do miesiąca, jak jakieś znaki wymachiwał ogromnym mieczem — — lecz kiedy zapieje pierwszy kur, Grodzisko zatrzęsie się w posadach, zazgrzyta mur — i rycerz ginie... Mówią, że nawet zaśnięte wojsko tam jest... Ale to ukazuje się tylko raz w roku, w odpust na patrona wsi. Widziała pewna sierota-pasterka, jak w czasie sumy, w sa-

mo podniesienie, wypadł z pod ziemi lik wojska w mieniących zbrojach, uganiał na koniach przez krótką chwilę po sąsiednich polach, ćwiczył się w mustrze, a potem, kiedy głos sygnaturki ucichł — wojsko zapadło się w ziemię... Nie każdy jednak jest godzien na ono widowisko. Ale są we wsi starzy ludzie, co widzieli to wojsko pośnięte, a nawet olbrzymich trębaczy pośród niego... Dawniej ukazywało się ono częściej, ludzie byli godniejsi — powiadają. A ma ono wstać, kiedy dawne dzieje powtarzać się zaczną, kiedy znów będą polskie króle i hetmany, gdy się korona polska znajdzie... I to Grodzisko odbuduje jeszcze rycerstwo, kiej ten czas przyjdzie... I skarby tam mają być, wielkie skarby... Widziano nieraz siwiuteńki płomyk, jak się u stoku kopca wydostawał z ziemi, a tak się właśnie przepala złoto i srebro... Tak się przesusza... I dowód jest, że skarby tam być muszą. Bo gdy razu jednego, kiedy jeszcze piwnica istniała, wrzucili swawolni pasterze torebkę z juzyną onej sierocie-pasterce do piwnicznego lochu, to wyrzucono ją stamtąd z powrotem pełną złotych czerwieńców do nóg płaczącej sieroty.

Słońce, niżące się ku zachodowi, oblało rumianą postacią leżące Grodzisko, opromieniło szczerby i rozpadliska i rozścieliło się blaskiem wśród dzikich zarośli.

Towarzystwo dochodziło do kopca.

— Kto pierwszy wybiegnie na szczyt? — zawołała Zosia i ruszyła pędem ku górze. Za nią poczęła się spinać reszta towarzystwa.

Largo podniecony wesołością wdrapywał się, jak mógł najprędzej, wymachując uciesznie podłużnym łbem. On stanął pierwszy u mety, za nim Zosia z Gąśliczem, za chwilę Anielcia. Kwieta zatrzymała się w połowie drogi zmęczona i oglądnęła się na Zygmunta. Ten wychodził powoli, nie mając widocznie chęci do żadnej wesołości.

— Zygmunt, tak się zmęczyłam, że nie mogę biedz dalej... — mówiła do nadchodzącego szeptem. — Czekam na ciebie... — Głos jej był trochę drżący, przepojony ogromną chęcią rozmawiania z nim sam na sam. Takby strasznie chciała opowiedzieć mu swoją rozmowę z matką, o swem zwierzeniu, bo nie widzieli się dotąd. I słowa te tak garnęły się do ust, tak tłukły niespokojnie więzione wewnątrz... lecz dziś nie było sposobności...

— Złota... kochana... daj rączkę — ujął ją pod ramię i wyprowadzał na szczyt.

— Och, inwalidzi! — poczęła żartować z nich Zośka.

— W Tatry was puścić... — dodał Gąślicz — serwus lody i czekolada...

— Proszę się nie śmiać z nas — broniła się Kwieta — przecież dopiero początek wakacyi, treening, przygotowanie się do marszów...

Wtem uwagę stojących porwał następujący wypadek: Oto tuż obok wypadł z zarośli spłoszony zając. Largo spostrzegł go w pierwszej chwili i puścił się w pogoń całym pędem.

— Trzymaj kota! — wrzasnął Gąślicz.

Dosyć bystra pochyłość szerokiego kopca nie pozwalała psu ni szarakowi gonić naturalnym biegiem — obaj prawie na pół stoczyli się po piardze.

Zając, wydostawszy się na równy grunt, skręcił w pola. Głośne nawoływania widzów naciągały mu skoki, że sunął, jak strzała. Largo gnał za nim co sił, wydłużywszy szyję, jak żóraw. Przestrzeń między nimi była mała, prawie kilka kroków.

— Chwyci go, chwyci!... — wołała Zosia, uradowana tym widokiem.

— O, już, już...

— Już go ma... no?...

— O, nie...

Pies siedział już prawie na karku zająca, gdy tenże wywrócił w bok koziołka i Largo przesadził go o dwa susy. Przestrzeń rozluźniła się nieco, do tego zając wpadł w poblizką pszenicę. Widowisko znikło na chwilę; można było tylko poznać po ruchu źdźbeł, gdzie znajdywali się bohaterzy.

— Już go nie chwyci — przerwał Zygmunt

chwilowe natężenie myśli — w pszenicy nie da rady.

— Jeśli go straci z ócz, to nie chwyci — potwierdziła Kwieta. — Węchem nic sobie nie pomoże, bo jeszcze pszenica kwitnie, stępi go silny aromat...

Prawdopodobnie potwierdzenie Kwiety było słuszne. Za chwilę bowiem na końcu łanu ukazał się sam Largo, nie wiedząc, w którą puścić się stronę. Zając widocznie wśród prędkich krętasów musiał się zgubić w pszenicy, lub wypadł przetnicą, niewidziany, w inne zboże.

Largo wahał się moment bezradny i zawrócił z powrotem.

— O, Largo — drwił Gąślicz — a gdzież to zajączek?... Zostałeś, biedaku, jak pop bez rewerendy... A toż się spisał...

— Może go jeszcze znajdzie... — nie traciła wiary Anielcia — a tak już był blizko niego, że myślałam, iż go już ma.

— Ten zając to tak jak szczęście: — przedstawiała Zosia — zdaje się, że już je człowiek ma, a...

— ...A ono fajt!.... — przerwał Gąślicz. — Ono w tą stronę, a człowiek znów fajt w drugą. Zdaje się człowiekowi, że mu już siedzi na ogonie, to znów buch koziołka przez to szczęście — i wyleci człowiek goły, jak ten pies z pszenicy, lub Filip z marchwi, no, nie tak, Zośka?...

— E, przerywasz mi... — gniewała się niby, śmiejąc się z drugimi.

— Ale przecież to chciałaś powiedzieć?

— Teraz już nie powiem nic.

— Widzisz, Władku, utraciliśmy przez ciebie wykład, — dogadywał Zygmunt — a mógł być bardzo interesujący...

— Zapewne, jeśli natchnieniem był uciekający zając...

— Ja staję w obronie Zosi, proszę się nie śmiać! — ujęła się Kwieta.

— A, wobec takiej potęgi — kapituluję... — skłonił się Gąślicz i zdjął kapelusz.

Zosia spojrzała nań, jak człowiek, odpuszczający winy.

— Wiecie, państwo, usiądźmy troszku — zaproponowała Anielcia, siadając równocześnie na trawniku.

— Genialny pomysł, Anielciu, siadajmy, państwo... — i Gąślicz, wziąwszy Zosię za rękę usiadł z nią razem. Zygmunt z Kwietą usiedli naprzeciw, tworząc małe półkole.

Chwilowo zapomnieli o psie i zającu.

— A może czekoladki pozwolą szanowne panie? — poprosił Gąślicz, wyjmując paczkę z kieszeni.

— Danusia... a może masz, Władek, i Zbyszka, co? — zapytała Zosia.

— Owszem, mam nawet karczmę pod »Lutym turem«... — śmiał się, szukając po kieszeni.

Spojrzeli nań z zaciekawieniem.

I rzeczywiście Gąślicz wyjął płaską, kieszonkową flaszeczkę, zamkniętą specyalnym kieliszkiem.

Zaśmiali się ze zdziwienia.

— A gdzieżeś się ty, Władku, wybrał z tymi wiktuałami? — pytał, śmiejąc się Zygmunt.

— A widzisz... Sapiens omnia sua secum portat... Spodziewałem się, że może być mała wycieczka. Do tego myślę sobie: idę do Zośki, nie będzie miała czem »oblać« matury — speszę ją...

— A właśnie, że mam w domu — odcięła się Zosia — omyliłeś się medyku.

— Przyszły weterynarzu... — poprawiła Anielcia.

— Niech będzie i tak, nic straconego, jutro będziemy pić u ciebie Zosiu, prawda? a teraz vivat!... — odkręcił hermetyczny kieliszek i podał paniom.

— A co to za napój? — zapytał Zygmunt.

— Och, cymes koniaczek...

Panie wymawiały się troszku, jednakowoż napiły się po kieliszku; panowie wypróżnili do reszty.

Płci pięknej zostawiono czekoladę, płeć silna zapaliła papierosy.

Zygmunt co chwilę zwracał oczy na Kwietę —

cudem wydawała mu się i jakby nie z tej ziemi istotą. Przywierał wzrokiem do cudnego pastelu jej lic, uśmiechających się uroczo, jako majowy ranek. Była, jak rzadki, egzotyczny kwiat, rozkoszna w każdym ruchu i pozie. Wiał od niej czar, chylący głowy do podziwu i uwielbienia — fascynująca potęga piękna promieniała od niej całej.

Myśl, że to dziewczę urodziwe go kocha, że mu siebie oddało daninę wielkiego umiłowania, że przylgnęła doń całą swoją istotą, niby przesłodkie dopełnienie przeznaczenia — — napełniała mu piersi bezmiarem rozkoszy i jej niegasnącym pożarem.

Chciałby szaleć i płakać z tego szczęścia, posiekać dałby się za nią, byle to była jej wola — była dla inego czemś najdroższem.

Zosia, patrząc się teraz na Kwietę, nie dziwiła się zupełnie, że ta niebianka zawładnęła Zygmuntem, tym Zygmuntem, o którym miała pojęcie, że świat kobiecy dlań nie istnieje. Nie widziały się przez dwa lata — Kwieta przez ten czas wyrosła z niepokaźnej panienki w niedorównaną piękność. To, że brat ją kocha z wzajemnością, głuszyło w niej zazdrość, co mimowoli budziła się w jej myśli.

Uczuła wielki przyciąg do tej uroczej bogaczki, sama nie wiedząc, przez co.

Była bowiem w Kwiecie jakaś siła utajona,

co przykuwała do siebie, czy przez swą naturalność nieskrępowaną niczem, najmniejszym objawem swojego »ja« — szczerota i dobroć była rozlana w niej, jak morze, i ta widocznie wytwarzała tą magnetyczną moc ujmowania. Nie było w niej ani iskierki dumy, jakąby okazywała drugim, najmniejszej pychy nie zrodziły niepospolita piękność, bogactwo, czy urodzenie. Miała wrodzoną już tą łagodność natury, niezdolną do jakiegokolwiek odróżniania się od drugich — czuła się tylko człowiekiem, pragnęła lgnąć do ludzi i z nimi żyć rodzinnie. Pałac był dla niej, jeśli już nie więzieniem, to czemś, co krępowało chęci i nastrajało myśli na modłę właściwą jej sferze.

Zosia odgadła to swoją bystrością — i to zbliżało ją do Kwiety, jak do siostry. Do tego była wrażliwa i subtelna, egzaltowana uczuciem, które ciągnęło ją do pokrewnych sobie ludzi i łączyło przyjaźnią.

— Coś się tak, Zośka, zamyśliła? — przerwał jej Gąślicz krótką zadumę.

— Ot, tak sobie; przyszła mi na myśl pewna rzecz...

— Ważna, czy nie?

— Żebyś wiedział, że ważna...

— O, jeśli tak, to myśl jeszcze. Silentium...

Usta Zosi złożyły się do uśmiechu.

— No, myślisz? — nudził dalej.

W tejże chwili ukazał się Largo i zbliżał się do siedzących z opuszczoną głową.

— O, Largo! — zawołała Kwieta — a gdzież zdobycz?

— Ty sam biedaku nie wiesz — nieprawdaż? — zwrócił się Gąślicz do psa. — No, wiesz, w której pszenicy, lub stronie? Widzisz, że nie wiesz... Dobrze, że ciebie zając nie chwycił, dopierobyś się miał z pyszna...

Poczęto drwić z zawstydzonego psa, a najbardziej Gąślicz.

Kwieta brała go w obronę.

— Piesiowi było źle gonić w zbożu... czekaj, powetujesz to sobie w jesieni, jak pola się opróżnią, na otwartej przestrzeni będzie dogodniej złowić...

Largo, ziając, położył się około swej pani i nadstawiał łeb na pieszczoty.

— Pan lubi psy, panie Zygmuncie? — zapytała miłym głosikiem, zwracając nań szeroko otwarte oczy.

— Owszem, nawet bardzo. To chyba jedyne zwierzę, co przywiąże się do człowieka i pozostanie mu wierne.

Zawiązała się rozmowa na temat psów.

Słońce tymczasem chowało się za lasy na widnokręgu — własność Dolańskich. Siało ostatki czerwonych promieni na pożegnanie ziemi, całowało ją szkarłatem zorzy, mrugało figlarnie wiel-

ką źrenicą, jakby powiedzieć chciało: jutro znów cię odwiedzę, kochanko, nie tęsknij...

Porykiwanie bydła dochodziło zewsząd — spędzano je właśnie do obór.

W polach, jak okiem sięgnął, wychylały się z za zbóż kopiska siana i koniczyny, gdzieniegdzie grabiono jeszcze, zanim pocznie padać rosa.

Gościńcem od dworskiego pastwiska i łąk ciągła pańska stadnina koni i źrebiąt, a tuż niedaleko za nią, olbrzymia trzoda krów, jałowic i liczna cielęca gawiedź.

Był to iście pański inwentarz. Rasowe krowy szły poważnie i wolno, pomrukując ustawicznie.

Kilku pastuchów utrzymywało porządek, nawoływując głośno i śmigało długimi batogami.

Reszta koni i kilkanaście par wołów zwoziło znów z pól siano, dziedzic bowiem kazał zmieniać fornalki codziennie.

Na południowo-wschodniej stronie nieba ukazał się księżyc. Blady był i nieśmiały, jakby się bał jeszcze na przeciwległym krańcu widocznego wszechwładcy-słońca, lękliwie się podnosił, podpatrywał i czając się, wdrapywał się coraz wyżej z głupkowato-niewinną miną.

Zauważył to Gąślicz i, niespuszczając zeń oka, odezwał się podniesionym głosem:

— Patrzcie się państwo, jaki ten miesiąc zadowolony, że słońce zaszło... Pochylił głowę, ni-

czem dewotka, i wybałuszył perskie oko, jakby w zaloty szedł...

Oczy wszystkich zwróciły się na księżyc.

— Naprawdę, że komicznie wygląda... — potakiwała Zosia, bawiąc się strugami swych warkoczy.

— Jakiś bardzo anemiczny, jak zakochany nieszczęśliwie paź... — dodał Zygmunt.

— A jednak się uśmiecha, choć zawiedziony, no nie, panie Zygmuncie?

— Widocznie tak na przekor... — odpowiedział na pół z uśmiechem.

— Lub sobie z tego nic nie robi... — wtrąciła i Anielcia.

— Tak właśnie, brawo Anielciu!... On sobie z tego nic nie robi! — powtórzył Gąślicz — i śmieje się ze swych niefortunnych zapędów. A znacie państwo najnowszy sonet o księżycu?

— Czy to twojego utworu, raczej wyrobu? — zapytał Zygmunt.

— Ale gdzie tam mnie do tego... To wiersz najpoczytniejszego, naszego parnasisty obecnych czasów...

— Słuchamy, panie Gąślicz, niech pan nam go zadeklamuje — prosiła Kwieta.

— Otóż słuchajcie: — odchrząknął i począł deklamować, jak mógł najpoważniej: »Rumiany księżyc, o bladem obliczu, wyszedł zza chmur i światłem mię raził. A ja mu rzekłem: księżycu

a pocóżeś ty z poza chmur wyłaził?...« — no, nie piękna poezya?

Śmiech serdeczny wstrząsnął wszystkimi.

— Paradne to! — śmiała się najgłośniej Zosia. — Rumiany, a o bladem obliczu... Bogdajżeś Władek, skąd ty to bierzesz?

— Hm, skąd... Przecież się uczę na uniwersytecie, a tam uczą wszystkiego — nieprawda, Zygmunt?

— Oczywiście; a najwięcej na oddziele smorgońskim...

— Wierzcie mi państwo, że mi dobrze z wami, tak się ubawiłam, jak rzadko kiedy, ale już muszę iść do domu...

— Niech panna Kwieta jeszcze zostanie — powstrzymywała ją Zosia — nie puścimy jeszcze pani!

— Kiedy już muszę, panno Zosiu. Jabym tu została nie wiem dokąd... Tu już po ósmej dziesięć — spojrzała na branzoletowy zegarek — u nas za chwilę kolacya.

Towarzystwo powstało z miejsca.

— A możebyśmy tak jutro urządzili jaką małą majóweczkę? — poddał myśl Zygmunt.

Wszyscy zgodzili się, jak najchętniej. Naznaczono czas na godzinę trzecią po południu, miejsce zaś zbiórki w ogrodzie u Gąślicza.

Kwieta planowała również coś w myśli, nie

wiedziała jednak, czy jej się uda ten projekt, z powodu obecnej oziębłości ojca.

Za miejsce majówki obrano łąkę w lesie, sąsiadującą z wielkim stawem, własność olszowieckiego dworu.

Wybór nie mógł być trafniejszy.

Ruszono do wsi. Po drodze omawiano drobne szczegóły, tyczące jutrzejszego dnia.

Przy dworskiej drodze pożegnano się z Kwietą. Gorący uścisk zostawiła Zygmuntowi przy pożegnaniu, uścisk miłości wielkiej.

Po jej odejściu Zygmunt stał się trochu milczący i zamyślony.

Gąślicz odprowadził Ossockich pod dom, wstąpił do nich i został już na wieczerzę.

— A ja wam mówię, gołąbki moje, że to straszny człowiek... — odezwał się ojciec, zobaczywszy córki. — Jednego anioła już skradł, ale was nie dam mu, nie!... nie!... nie!...

Przykre wrażenie przeszło po sercach obecnych.

— A był to anioł... był...

Siadł na krawędzi łóżka, a na brodę poczęły mu kapać obfite łzy...

II.

Kwieta tego dnia po kolacyi i zaraz nazajutrz prosiła matkę o współudział z nią w majówce, jednakże prośba jej nie odniosła żadnego skutku.

Pani Dolańska nie mogła się zgodzić ze względu na męża, z którym pożycie, od czasu ówczesnej wizyty u Ossockich i sceny, jaka po powrocie zaszła w domu — stało się chłodne, a nawet ciężkie.

Pan Maciej bowiem stał się milczący, zamknięty w sobie i zatopiony w różnych domysłach i przypuszczeniach. Do żony odzywał się rzadko, z konieczności i to lakonicznie, a często nawet opryskliwie.

Posępność zagnieździła mu się w twarzy, jak wielki, czarny ptak, wycisnęła w niej znamię złowrogiej chmury, gotującej w sobie gromy i zawieruchę.

Do tego choroba nerwowa, na którą cierpiał już od kilkunastu lat, przyczyniała się z dnia na dzień do podniecenia wewnętrznej walki, rozdmuchiwała ją, jak ognisko i podsycała coraz to nowszem podejrzeniem.

Wiarę w żonę stracił w zupełności. Przyczyniało się do tego poniekąd zeznanie samej Dolańskiej, nie tające miłości do Ossockiego — bo czyż jej serce, zaprzedane w pierwszej wiośnie kochania, będące jeszcze dotąd pod wpływem szalejących ócz Piotra, gorące od jego słów i młodzieńczych zachwytów, wypieszczone rozkoszą wspólnie przeżytych chwil i omotane przędzą jego zaklęć, i pragnień, i przysiąg — — czyż te usta spieczone jego pocałunkami, na których drgały jeszcze słowa przyrzeczeń, modlitw o wspólne szczęście — — życie — — — czyż ten mózg przesiąknięty myślami o nim, ten szalejący mózg, co każdą komórką swoją oddany był jemu, jemu jedynie... co śnił o nim po nocach pełnych gorączki i zwidzeń — — czyż ta dusza tęskniąca za nim w pierwszej godzinie rozłąki, a witająca go ogromnem upragnieniem, szlochem radości i zadowolenia... I niedługo te straszne dnie umów i targu... gwałt przysięgi innemu w oczach Boga i ołtarnych świętości... zamach na świątynię serca i woli — przymus... potworne zaprzedanie, co krzyż błogosławieństwa otrzymało miast klątwy i potępienia!... a później te noce poślubne, mające piętno zgwałceń, wbrew prawom ludzkim i natury... te oczy chutliwe, ręce głodne uścisku i glaszczące jako oploty gada — — ohyda... te uśmiechy, nastrojone gwałtem, nienaturalne, pełne żądzy, cyniczne... I to powolne poddawanie się,

niewypróżniona czara żółci, łez, omdleń rozpacznych... I ta niewiedza o tamtym — gdzie jest, czy żyje i przeklina, czy zapomniał w uścisku drugiej — ten, jej święty... A może padł samobójczo, może go gryzie już piach — — te usta drogie, wycałowane lica, te oczy dobre, to serce, co dla niej biło, serce anioła... a może... może...

Rozłąka straszna i ta potępieńcza niewiedza przez tyle dni, miesięcy i lat...

Więc czyż to serce, co tak kochało i wycierpiało tyle, i czyż te usta spalone łzami i gorączką mogły skłamać i wyprzeć się miłości, przypieczętowanej majestatem męki, nakrytej szkarłatem tyloletniego cierpienia?... O, nie, zaiste!

Wypowiedziała więc istotę swojego serca, jako tajemnicę, głuszoną przez ten okrutny czas, wypowiedziała może na złagodzenie bólu — tamtemu, wyspowiadała się do cna, że kocha! I zaprzeć się nie mogła, bo miłość ta wrosła w nią całą — — uogromniły ją lata — — — stała się życiem jej...

Wiadomość ta, na tego prawie starca podziałała, jak piorun. Życie ich, od dnia ślubu, stanęło mu teraz w oczach, jako larwa. Zbudziło niewiarę, jako polipa podejrzliwości. To, że żona musiała go zdradzać, wlepiło mu się w mózg, niby czerwona płachta, i zrodziło opętańczą mękę. Całe to życie wydawało mu się pobojowiskiem, na któ-

rem walczyła zdrada z dobrocią... Przecież był dla niej niezmiernie dobry, kochający i ustępliwy...

Najbardziej utkwiły mu w mózgu myśli i te wypełzywały co chwilę:

— Widzisz, dopóki jego tu nie było w Olszowcu, było lepiej. Żona się poniekąd zżyła z tobą, przyswoiła się, jak wierna niewolnica. Kiedy zaś przybył on, zawiał znów początkowo chłód, przechodzący w odrazę. A później... później urodziła się Kwieta... Ta córka ich niechybnie! To owoc zdrady — słysz!... To nie twa córka!... Popatrz się, nawet oczy ma tamtego i wykrój ust... — Tak podszeptywały myśli i kusiły, jak szatan.

I on, przebrnięty niemi, stał się, jak opętaniec, dopatrując się w córce coraz większego podobieństwa do Ossockiego.

To zabijało go i targało wnętrze bez miłosierdzia.

Ale bywały chwile co ten ból łagodniał w nim na czas jakiś — to przysięga żony wówczas na krucyfiks.

I tak przychodził pożar gwałtowny i ulga, targając nadwerężone, a raczej na półstargane nerwy do reszty.

Lada rzecz wyprowadzała go z równowagi — plagą stał się dla służby. Coraz częciej wpadał w szaloną złość, prał służbę harapem, nieumiejącą się zastosować do jego podwójnych i często

sprzecznych rozkazów, niedawno zaś potłukł w kawałki bogaty kredens w szale nerwowego ataku...

Dla oka ludzi wyjeżdżał, jak dawniej, z żoną i córką w sąsiedzkie wizyty, silił się na utrzymanie równowagi, wówczas mówił do żony wiele, śmiał się w towarzystwie, dowcipkował. Znalazłszy się w domu tępiał w milczeniu, lub gniewał się i oburzał. Nie obeszło się bez aluzyi, przycinków — i każda taka wizyta kosztowała Dolańską potoki łez i niezasłużonych wyrzutów.

Usposobienie ojca do Kwiety uległo również zmianie. Jak dawniej kochał córkę, teraz się starał od niej usuwać, choć i ona, widząc, rozdzierającą przepaść pomiędzy rodzicami, lgnęła do matki, a z ojcem spotykała się tylko przy stole.

Życie domowe rozluźniało się z dnia na dzień coraz bardziej. Kwieta traciła zaufanie do ojca i przywiązanie dziecięce — tyranem począł jej się wydawać i powodem jakiegoś zła, które wyczuwała z wielkich poróżnień między rodzicami. Wówczas przychodziła jej na myśl fotografia Piotra Ossockiego, widziana w kryjówkach matki, różne domysły przylatywały do głowy, a wszystko to było owiane jakąś niezrozumiałą tajemniczością, niby mgłą, przez którą prześwietlały tylko niejasne przypuszczenia.

Matki pytać nie śmiała, by jej tem bólu nie sprawić, jak mniemała, a Zygmunt może również nie wiedział o niczem.

— A może Zygmunt co wie — myślała nieraz — przecież to jego ojca fotografia... Czyżby pan Piotr kochał kiedy moją mamusię?... Możliwe, on też podobno z Litwy... I ta troskliwość matki w czasie choroby pana Piotra...

To nasuwało jej prawie twierdzące przypuszczenie, razem ze zdaniem: »Może Bóg choć tu okaże się miłosierny« — powiedziała jej matka, kiedy zwierzała jej miłość wtedy w sypialni.

To zdanie utkwiło jej w pamięci i nie dawało spokoju.

— Oni się pewnie kochali...

Postanowiła już zapytać się Zygmunta, jednakowoż odkładała to na później, czekając najstosowniejszej chwili i okoliczności, którąby to pytanie nasunąć mogła.

Kwieta, spotkawszy się obecnie z odmową matki, zasmuciła się bardzo.

— Wiesz mamusiu — przedstawiała jej jeszcze, siadając przy niej na otomanie — ja tak pragnęłam, abyś ty była tam ze mną. Będzie Zygmunt, jego siostry, rozmawialibyśmy razem... Och, ja czuję, jak onby z tobą chciał mówić, żeby on z twoich ust słyszał, że jemu wolno mię kochać... Onby dziękował ci na klęczkach, onby ci stopy całował z wdzięczności... On teraz taki smutny i przygnieciony zmartwieniem, ojciec jego, jak już wiesz, dostaje często napadu szału, musi prawie wciąż w domu czuwać, pełen zgry-

zoty — a toby go rozweseliło, dodało jakiejś otuchy i pociechy... — mówiła rozczulona, wymawiając miękuchno każde słowo.

— Dziecino kochana, przecież wiesz, że nie mogę... wiesz jaki ojciec teraz, że gniewałby się znowu, a chyba już dość tego wszystkiego. A nawet nie wypadało iść na majówkę w towarzystwie was, młodych, samej jednej i starszej. Gdyby jeszcze towarzystwo było liczniejsze, złożone z osób starszych, jak to dawniej bywało, że był i ojciec również — to co innego. Skrępowałabym tylko waszą zabawę sobą — i po co to? Jak więc widzisz, nie mogę wziąć udziału z różnych względów. Wiesz, że ojciec nawet nie lubi bliższego stykania się z inteligencyą wiejską, znasz jego zapatrywania pod tym względem. Dawniej bywał jeszcze znośniejszy, ale teraz... widzisz, co się tu dzieje. Ty idź, owszem, zabaw się, przeciwko temu nie mam nic, ale postąpiłabyś również dobrze, gdybyś poprosiła ojca o pozwolenie. Miałby znów powód do gniewu, nie widząc cię całe popołudniu.

— Dobrze, ja tatusiowi powiem.

— Musimy być teraz, dziecko, oględne. Ojcu zaczyna się nie podobać twa częsta nieobecność, przypuszcza, że spotykasz się z Ossockim. Kiedyś wspomniał mi o tem, naturalnie dokuczliwie. Powiedział, że zbada to bliżej i stanowczo nie po-

zwoli na jakieś schadzki. Ktoś mu już musiał donieść...

Po twarzy Kwiety przebiegł nagle cień smutku.

— Boże i dlaczego?

— No, widzisz, ojciec taki. Nie podoba mu się, że ty arystokratka wdajesz się i spoufalasz z ludźmi niższego pochodzenia, słowem, nie naszej sfery.

— Więc jakto, czyż my są inni ludzie od tych wszystkich? Czyż inni nie noszą miana człowieka — i czem się wogóle różnią od nas, tak zwanej szlachty i arystokracyi?... Że nas los wyposażył hojniej, czyż mamy przez to tymi drugimi gardzić, że nie są w stanie nam dorównać? To już przestarzałe sądy! Dziś zanikają już sfery — jednakową godność uznaje się we wszystkich. Każdy osobnik, jako człowiek, ma swoje aspiracye, a przygotowany należycie może tak sprawować urząd i rządzić nawet państwem, jak i ten, który urodził się w koronie...

Kasty... jakie to śmieszne!

— A jednak widzisz, dziecko kochane, trzeba się z tem liczyć — och, ty jeszcze nie znasz świata.

— Ten tylko chyba musi się z kimś liczyć, jeśli od niego zależy. Inaczej, każdy ma swoją wolę i czyni to, co uważa za stosowne.

— Tak, tak, dziecko, to się tylko mówi... Podzielam jednak twoje zapatrywanie i cieszę się, że myślisz, jak ja myślałam ongiś, a może i do

dziś... ale świat bywa zawzięty, a nawet srogi. Świat stawia — i rujnuje, uświęca paragrafy — i obala, pisze przykazania miłości bliźniego — i stacza krwawe wojny... Świat, to jedna ogromna widownia, na której walczy Dobro ze Złem. I walka ta trwa nieustannie, na niezliczonych frontach — — — to życie ludzkie. I więcej łez i krwi na świecie — niźli uśmiechu i szczęścia... — przy ostatniem słowie westchnęła ciężko. — Ale nie mówmy o tem. Pamiętaj tylko, dziecino, że chcąc wydać walkę światu, to przedewszystkiem trzeba zaprzeć się świata... Trzeba mieć wolę tak wielką, jak i chęć. Mnie brakło tej woli — dlatego jestem nieszczęśliwa... upadłam w walce.

— Ja wiem, mamusiu droga, żeś ty nieszczęśliwa... — przytuliła się do matki, zarzucając jej ramiona na szyję.

Chwilkę było milczenie, jakby ich dusze wpatrywały się w siebie.

— A czyby tobie w walce nie brakło sił, oporu, woli... słuchaj, Kwieteczko? — odezwała się znowu i zamglonemi oczyma spoglądnęła na córkę.

— Och, nigdy, mamusiu! Wierz mi, ja czuję taką moc w sobie, iż mi się zdaje, żebym przed niczem nie uległa — i jestem tego najświęciej pewna. Wolałabym życiem przypłacić walkę, niż uledz! — zaciętość wymalowała się jej na twarzy, jakby gotowość do natychmiastowej walki.

— Tak więc wierzysz w siebie, ty młode pisklę.

— Wierzę, bo czuję w sobie siłę!

— Więc ufaj, bo wiara w swe siły znaczy wiele, a nawet wszystko. To jest pancerzem woli. Może przyjdzie ci walczyć strasznie, Bóg wie, jak zrządzą losy, a walka ta może być ponad siły...

— Mamusiu, masz na myśli Zygmunta i mnie, nieprawdaż?

— A choćby... Wiesz, że ojciec nie pozwoliłby nigdy na waszą miłość, tembardziej związek. On dla ciebie myśli o pierwszj partyi w kraju... a Zygmunt, jako biedny i bez tytułu, nie znaczy u niego nic... Że jest szlachcicem — to mało... Tyś jedynaczka z nazwiskiem i majątkiem...

— To cóż? — przerwała Kwieta.

— Więc przyjść po ciebie może książę, masz wszystkie dane po temu. Choć nie jesteś hrabianką, aleś z dobrego szlacheckiego rodu i masz majątek — a to dziś znaczy wszystko...

— I ojciecby mię zmusił wyjść za człowieka, któregoby mi przeznaczył?... Nigdy! Bez miłości, tylko z przymusu?... Och, nie, nie!

— A gdybyś go kochała?

— To co innego. Ale ja kocham Zygmunta tylko i słyszeć nie chcę o nikim ani słówkiem, ani najmniejszem przypomnieniem!... Zygmunt znaczy dla mnie więcej niźli książęta, niźli wszyscy królowie... Jego jedynego kocham i nie przestanę do śmierci, jak Bóg na niebie! — cudna

jej twarz nabrała żywszego rumieńca i pewności wyrzeczonych słów.

— Ja ci nie rozkazuję, dziecko, nic. Jako matka pragnę dla ciebie największego szczęścia. Nie byłoby ofiary, jakiej nie poniosłabym dlatego, byś tylko ty była całe życie szczęśliwa... by ci było dobrze... byś miała upragnione zadowolenie... Cóż znaczy wszelki majątek, jeżeli się niema tego wewnętrznego szczęścia?... Najlepsza strawa staje się — goryczą, więzieniem — najwspanialsza rezydencya... Och, ja to wiem, ja wiem... Więc poco te cierpienia, te łzy... Kiedy można uchwycić to szczęście inaczej, gdy ono często samo przychodzi... Dziecko, ile ja nocy strawiłam nieprzespanych, myśląc o tobie, o twej przyszłości, jak ci się losy ułożą, czy ty będziesz szczęśliwsza ode mnie... I dlatego zostawiam ci dowolny wybór serca — idź za jego głosem, a gdy i ono cię zawiedzie, nie będzie to już winą ani moją, ani twoją, ale przeznaczenia. Do matki żalu czuć nie będziesz, chyba tylko do osądzenia... Myślałam nad tobą wiele, bardzo wiele. Jeśli ty kochasz Zygmunta prawdziwie, jeśli ta miłość jest wielka, nieprzelotna, ale ugruntowana w sobie — i jeśli on żywi do ciebie taką samą — — kochajcie się. Znam go, to człowiek szlachetny, dobry jako i ojciec, nie zawiedziesz się na nim... Ale zapytaj się w duszy, czy ty nie wmawiasz w siebie tej miłości — może to tylko chwilowe wrażenie...

— Och, nie mów mamusiu... — przerwała jej nagle — ja go tak kocham, wiesz, nie umiem ci tego wypowiedzieć, wysłowić się nie potrafię — tylko czuję... czuję... — chwyciła ręce matki i poczęła okrywać gorącymi pocałunkami.

— Dobrze... już dobrze... Lecz słuchaj: cóż jednak będzie, jeżli ojciec nie zgodzi się — i to jest pewne, aby wyście się pobrali?

— Jeżliby tak było, to z domu ucieknę i ślub weźmiemy pokryjomu!... — powiedziała to, jak myślała obecnie.

— Dobrze... a czy ty wiesz, jakieby mogły być następstwa? Tyś jeszcze niepełnoletnia, ukaranoby więc Zygmunta za uwiedzenie... Ojciecby się postarał by unieważniono ślub, dziecko... i to w naszej sferze możliwe, wszystko da się zrobić, gdy się ma wpływy i znaczenie...

— Nawet sakrament unieważnić?! — zapytała zdziwiona.

— Nawet sakrament... Teolodzy wyszukają powody, albo je stworzą i unieważnią.

— Podły ten świat — sama maska! Wszystko jest, jak ten manekin, którym da się obracać dowolnie... — oburzyła się wielce.

— A widzisz...

— A jeżli i ja wówczas nie ustąpię, to co?

— Tyraństwem może cię zmusić i powie: Później się przyzwyczaisz, zżyjesz się, będzie ci do-

brze, pokochasz!... Tak uczyniono mnie!... — spuściła głowę na piersi.

— Wolałabym śmierć, bo odebrałabym sobie życie!

— A nie żalby ci było wtedy Zygmunta... tak go zostawić?...

— Onby beze mnie też nie żył, ja wiem, że nie!...

— I cóżby przyszło wam z tej miłości?

— Mamusiu, nie mów tak, ja cię proszę!... — przytuliła się do niej z całą serdecznością i z cieniem zakłopotania, choć nad tem nie zastanowiła się jeszcze. — Przecież chyba Bóg jest na niebie i nie pozwoliłby na takie krzywdy, na takie gwałcenie praw, jakie dał ludziom...

Dolańska zbyła to zdanie milczeniem. Dusza jej, co to przeżyła w całości, wolała zamilczeć.

— A jeżli będę pełnoletnią, czy mię i wtedy można zmuszać i jego ścigać za uwiedzenie? — zapytała po chwili namysłu.

— Nawet i wtedy... Ta sfera ma pieniądz, wpływy, więc za nią staje prawo.

— Boże... Ale wiesz, mamusiu, żebym miała na kraj świata ucieknąć, to uciekłabym z nim — i tybyś przyjechała z nami, nieprawdaż, mamusiu złota?

— Dziecko, toby był skandal, cała afera... Zresztą, za co byśmy żyli w świecie?

— A czyż ja nie potrafię pracować i Zygmunt? Przecież człowiek potrafi na siebie zapracować...

— To mrzonki, wszelka ucieczka... A gdyby tak, widzisz, Zygmunt nie zechciał uciekać z tobą, gdyby mu się rozchodziło o honor nazwiska, i rodziców nie chciał porzucać, szczególnie ojca w takiem nieszczęściu, cobyś zrobiła?

Kwieta zastanowiła się chwilę.

— Wtedy zostałabym w domu, kochałabym go niezmiennie, ale i woli ojca nie uległa! I tak byłabym szczęśliwa, będąc blizko tego, którego miłuję... Takby już było... Wiernąbym mu została tak długo, póki nie przyszedłby czas, by mię mógł wziąć za żonę. A gdyby śmierć przyszła wpierw... to niechby!...

Dolańska była zdziwiona stanowczością córki. Nie przypuszczała w tej, na pozór wypieszczonej jedynaczce, takiego hartu. Widziała ją dotąd, jako kwiat, wyhodowany w cieplarni, słaby, wrażliwy i więdnący pod lada chłodem — kwiat, który łamie pierwszy silniejszy wiaterek i obrywa z korony — — dziś jednak poznała w niej ziarno, mogące kiełkować samoistnie na gruncie własnej woli, dostrzegła w niej godność człowieka, będącą w stanie bronić swych praw i dopominać się o nie. Wiedziała, że Kwieta czyta wiele, że to jest najlepsza szkoła życia, że jest psychicznie rozwinięta, jak rzadko która kobieta w jej

wieku, ale takiej stanowczości, jaką okazała obecnie, nie spodziewała się w niej wcale. Cieszyło ją to ogromnie, ale nasuwało i smutek, co zjawi przyszłość.

— Słuchaj Kwieteczko — odezwała się po krótkiej chwili milczenia — nie mówmy jeszcze o tem. Może da Bóg, że wszystko złoży się po naszej myśli, że pragnienia twoje się spełnią. Mamy czas jeszcze zastanowić się nad tem, tyś dopiero z dziecięcych lat wyrosła, jeszcześ młodziutka — zostawmy to przyszłości...

— Jakaś ty dobra, mamusiu złota... — objęła matkę za szyję i ucałowała po twarzy.

— Teraz idź, poproś ojca, by ci pozwolił na majówkę, powiedz kto bierze więcej udział — pozwoli, dobrze, a nie, to trudno. Musisz się na razie zgodzić z jego wolą. Jeźli się zgodzi, to mogłabyś wziąć małą bryczkę i kucyki, nabrać wiktuałów, kucharka niech upiecze kilka kogutków — zresztą, ja się tem zajmę, jak tylko przyjdziesz z pozwoleniem ojca. Będzie to inaczej wyglądać, gdy ty ich ugościsz — nie trzeba zapominać kim się jest...

— Właśnie, mamusiu, myślałam o tem jeszcze wczoraj i chciałam mówić teraz...

— Pokojówka Frania powinna również jechać z tobą, zawsze przydać się może na coś — i tobie tak samej nie wypada...

Prawie Kwieta miała udać się z prośbą do

ojca, gdy nagle spostrzegła przez okno trzech panów. Byli to Zygmunt z Gąśliczem i ksiądz proboszcz.

Wychylili się właśnie z za palm i kaktusów klombu, idąc prosto na ganek.

Niespodziewana ta wizyta zdziwiła ją niezmiernie i zatrzymała na miejscu. Nie mogła pojąć ich zamiarów — wczoraj nie wspominali o niczem.

— Mamo, Zygmunt i pan Gąślicz idą do nas...

Zdumienie wielkie odmalowało się na ich twarzach.

— Ciekawe, co ich sprowadza tak niespodziewanie? — zdziwiła się również pani Dolańska, podchodząc ku oknu.

Wprawdzie Zygmunt nie napomknął wczoraj o niczem, po rozejściu się jednak z Kwietą uradzono pójść do dworu z prośbą o współudział państwa w majówce, ewentualnie, gdyby ci odmówili, o pozwolenie dla Kwiety. Myśl tę podał Zygmunt, od czasu bowiem pojedynku nie był jeszcze we dworze, krępowany tak domowemi sprawami, jak i sytuacyą dworską, której Kwieta nie taiła przed nim — nie chciał więc, aby jego obecne unikanie dworu, jak myślał, stało się gruntem różnych przypuszczeń dla dziedzica.

Wybierał się już z wizytą parokrotnie, lecz dziś nadarzała się sposobność ku temu, skorzy-

stał więc z niej chętnie, tembardziej, iż chciał postąpić taktownie i z wiedzą wszystkich.

Chciano zabrać ze sobą jeszcze i pannę Zosię, ale ta wymówiła się brakiem odpowiedniej tualety, którą zostawiła w koszu w mieście, a który jeszcze nie nadszedł.

Wybrali się więc tylko sami panowie. Idąc, spotkali koło kościoła miejscowego proboszcza, który dowiedziawszy się o dzisiejszej majówce, poprosił również o przyłączenie się do towarzystwa. Tak więc wszyscy trzej udali się do dworu z myślą nakłonienia państwa Dolańskich.

Pan Maciej zobaczywszy ich przez okno, wyszedł naprzeciw, na ganek.

— Witam, witam szanownych gości... — kłaniał się czapką i przywitali się kolejnie.

— Sługa najniższy waszmości kolatora... jakież tam zdróweczko Bóg daje? Dobre, widać, dobre... — uśmiechnął się dobrodusznie pleban Jarząbek, wyjął kraciastą chusteczkę z tylnej kieszeni rewerendy i począł obcierać spocone czoło i kark.

Dzisiejszy gorący, a prawie upalny dzień dawał się jego potężnej tuszy we znaki, wysączając z ciała obfity pot.

— Dziękuję jegomości, trzymam się jakoś... A pan Ossocki, pan Gąślicz... O, jakoś panowie zapominacie o dworze... czemuż to tak uparcie

nie dajecie się widzieć?... Studya, obowiązki, prawda, prawda...

— No, pan Zygmunt już spokojny — odezwał się Gąślicz — teraz dla mnie żniwo...

— Tak, pan teraz się doktoryzuje? — przerwał pan Maciej.

— Właśnie.

— No, dej Boże szczęście! Miło nam będzie mieć swojego doktora... Olszowiec dostąpi sławy... daj Boże... Ale pozwólcież panowie dalej, poco się prażyć na słońcu... taki dziś upał... Janek — zawołał na lokaja — idź do szafarki niech da z piwnicy parę butelek wina, tego tam z za tej beczki, no już!

Wchodząc z ganku, spotkali na korytarzu panią Dolańską z Kwietą, które zdziwione wyszły z pokoju.

Przywitano się z gracyą i zwykłym szablonem, właściwym takiej scenie — i udano się do gościnnego pokoju.

Zawiązała się wesoła rozmowa, Gąślicz nie szczędził wesołych i udatnych żartów, pleban pomagał mu flegmatycznie i Zygmunt, choć początkowo poważny i więcej skupiony w sobie, ożywiał się coraz bardziej i nabierał większej swobody słów.

Wprawdzie uplanował tę wizytę, ale widok Dolańskiego krępował go wewnętrznie, nasuwając przeróżne myśli. Do tego obecność Kwiety,

tego wypieszczonego sercem anioła przez tyle już nocy śniwych, omotywała go niewidzialną przędzą i zacieśniała każde włókienko, ilekroć razy ich oczy spotkały się razem.

Dusze ich pragnęły samotności nie krępowanej niczem — tu musiały się nastrajać, kłamać sobie słowami, maskować się.

Jednakże trafne oko mogło i z twarzy pana Macieja wyczytać ten samokłam, udaną grzeczność, zmuszanie się do uśmiechu, który wybiegał na wargi niesamowicie, jakby gwałtem wypędzony na zewnątrz.

Ale pan Maciej był w podobnych wypadkach znakomitym wirtuozem, nie dającym się przyłapać na najmniejszej niewłaściwości.

Zygmunt był dla niego obecnie czemś wielce spornem i niemiłem, piekącem jak lód, leżący długo na pulsie dłoni.

Dolańska z córką czuły to dobrze — intuicya ich chwyciła to odrazu.

Jeden Gąślicz i proboszcz rozmawiali z właściwą myślą na obrany temat, ci nie mieli w sobie nic obcego, coby nasuwało dwuznaczność i niepewność słowa.

Przy winie wywiązała się prawdziwa serdeczność, spowodowana przedewszystkiem przez Gąślicza. Dowcipkował dziś z szczególniejszym talentem, co panu Maciejowi kazało chwilowo zazapominać o wewnętrznych bolach i udręce. Stał

się szczerszym, gadatliwy jeszcze więcej i jakby zadowolony. Było to jednak dla niego samego tylko czasowe złudzenie. Bywały bowiem dłuższe momenty, że w twarzach Kwiety i Zygmunta dopatrywał się podobieństwa, uparcie wmawiając w siebie, że ono jest...

Rozmowa przebiegała z tematu na temat. Rozmawiano chwilę o egzaminach Gąślicza, to gospodarstwie, dotknięto delikatnie polityki, a zwłaszcza wyborów sejmowych, co się zbliżały, to rozmowa stoczyła się na pojedynek Zygmunta — przyczem mu pan Maciej gratulował — w końcu zahaczono o Ruczewskiego i pana Piotra.

Pan Maciej ubolewał nad nieszczęściem, a najbardziej ksiądz proboszcz, którego z Ossockim łączyła szczera przyjaźń, pomimo różnicy ich stanowisk. Ten więc temat rozczulił dobrodusznego księżynę, począł więc coraz częściej zanurzać małe, pulchne palce w srebrnej tabakierce i przytulać je do dosyć pokaźnego nosa, co było u niego zwyczajem przy każdej wrażliwej kwestyi.

Był to człowiek już starszy, lecz mimo wiek, czerstwy jeszcze, jak dąb stuletni. Wysoki, barczysty i prawie ociężale otyły, miał wrażenie drzemiącego posągu, z którego pozy patrzy leniwie ospałość i jakby ujarzmiona siła. Twarz ciemnawego koloru biła wyrazem sympatyi i jakiejś ojcowskiej dobroci, przychylnej dla każdego. Oko lewe mrużył co chwilę, migając przy tem

powieką nerwowo, co było u niego starem przyzwyczajeniem. Potężny kark opierał mu się owalnym garbem na nizkim kołnierzu rewerendy, jak habit mnisi. Łysiną mógł iść chyba tylko z panem Maciejem w zawody, chociaż ta u proboszcza była o wiele większa i, jak twierdzono żartobliwie, jaśniejsza.

W okolicy lubiany był dla zacności charakteru i również jako dobry partner do gier w karty. Był także ksiądz Jarząbek zagorzałym antysemitą; znano go z tego daleko w powiecie, a nawet, jak mówiono, w kraju. Była to chyba jedyna nienawiść, jaka miała miejsce w jego sercu. Nie cierpiał tego narodu do ostatecznej wściekłości. Każdy żyd był dla niego nieprzejednanym wrogiem, chociaż najmniejsza styczność nie łączyła ich nigdy. Ze wsi wyrugował już kilka familii sklepikarzy przez ogólny bojkot, zmuszał do bankructw, natomiast założył kilka sklepów włościańskich, sam finansowo dopomagając.

W Olszowcu bowiem i przyległych do parafii przysiołkach, liczących razem do trzech tysięcy dusz, bylo aż dziewiętnaście rodzin żydowskich, trudniących się handlem, a pobocznie rolą. Dla onych pozostałych był proboszcz istnym postrachem — i te już prawie trzymały się na włosku, myśląc lada miesiąc wyemigrować w dogodniejsze strony. Srogi antysemita obiecywał nie spo-

cząć sobie spokojnie, dopóki ostatniego żyda ze wsi nie »wykurzy« i wsi po nim nie wykadzi.

Jakoż spoczynek zbliżał się raźnym krokiem, bo piętnastoletnie jego duszpasterstwo w Olszowcu miało już większą połowę »wykurzonej szarańczy«. Najciężej było mu z tymi, co posiadali grunta, jednakże i do tych umiał się zabrać powoli, systematycznie.

Ksiądz Jarząbek mrugając powieką, popatrzył bokiem na Zygmunta, jako żywy obraz nieszczęśliwego pana Piotra. Żal mu się zrobiło tego młodzieńca pełnego porywu do pracy, który teraz musiał marnować się w domu, nie chcąc opuszczać chorego ojca.

Rozmowa zeszła znów na sprawy wsi, w której ksiądz proboszcz nie omieszkał napomknąć zaraz kwestyi żydowskiej .

— To plaga, powiadam szanownemu państwu — odezwał się żywo — to wróg narodu tem większy, że wewnętrzny... Zaleją nas, powiadam, jak tak dalej pójdzie. To pasożyt gorszy od jemioły! Nie dość, że ssie soki, że tyje cudzym kosztem, to jeszcze zatruwa swego żywiciela. Jaki przerażający procent jest ich w Królestwie — strach czytać!... Powiadam, że jeżeli państwa w to się nie wtrącą, nie poczynią pewnych reform, to będzie źle! Kto im się później oprze, gdy chwycą resztę kapitału i handlu w swe ręce, gdy uzy-

skają najpełniejsze prawa? Nikt! Ten żywioł polipowy stanie się rządem i europejską Judeą...

— To prawie już widoczne — wtrącił Zygmunt — bo czyż ostatnie wybory warszawskie nie są tego najlepszym dowodem?

— Tak, tak, powiadam, że zbliża się nieszczęście!... Gdyby się wzięli do nich, jak ja naprzykład, w Olszowcu, powiadam, daliby jeszcze radę! Jestem tu już lat piętnaście i wykurzyłem piętnaście rodzin. Ulotnili się, jak kamfora... Mam ich tu jeszcze cztery, ale i te już patrzą niepewnie, a chodzą delikatnie, jak kot po ścierni... Już im tu jakoś nieswojsko... grunt pod nogami staje się coraz mialszy...

— Księże proboszczu — przerwał Gąślicz — prawie na jubileusz wypędzicie ostatniego żyda...

Uśmiech przeleciał po twarzach obecnych.

— Oj, dałby Bóg, jeszcze rok do dwudziestolecia tej twardej służby...

— E, nie znać tego tak bardzo, księże... — uśmiechnął się pan Maciej — zdróweczko służy i dary boże również...

Uśmiechnęli się znów, spoglądając na tuszę sługi bożego.

— Żartujcie zdrów, panie kolatorze, ale to nieszczęście, nie wymawiając Bogu... Jak przyjdzie upał, gorąc, to, powiadam, prawdziwy krzyż Pański. Ani się ukryć — war wszędzie, wszędzie dokucza... Najgorszy już lipiec i sierpień...

— Trzeba ruchu, księże proboszczu — doradzał Dolański — wycieczki, forsowne marsze, kąpiel domowa, mniej kurcząt, winka...

— Oj, żeby tylko pomogło, kochany kolatorze, tobym całymi dniami chodził, powiadam święcie.

— Ale pomoże, tylko niech ksiądz trzyma się recepty jak najwierniej; to Kneippowska metoda.

— A to wobec tego dziś rozpoczynam kuracyę od wycieczki, bo to najdogodniejsze...

— I gdzież się ksiądz proboszcz wybiera? — zapytała pani Dolańska.

— Właśnie przyszliśmy się zwierzyć szanownemu państwu: uplanowaliśmy majówkę, czy lipcówkę, ja, ci kochani młodzieńcy, panny Ossockie, ale myślimy sobie, jakżeby to wyglądało bez państwa dziedziców, postanowiliśmy zatem jednogłośnie prosić o łaskawy współudział — i my tu trzej, to deputacya korna...

Lica Kwiety i Dolańskiej rozjaśniły się momentalnie. Przez cały przeciąg rozmowy nie mogły zrozumieć celu tej nagłej wizyty, myśli ich krążyły ustawicznie koło jednego punktu: co ich skłoniło do przyjścia?

Zygmunt uczuł zadowolenie, że proboszcz wyręczył ich z prośby i spoglądnął z wdzięcznością na mówiącego księdza.

A ten, mrugając powieką, ciągnął dalej:

— Ufamy, że państwo nie odmówią, czas pię-

kny, chociaż trochę dopieka — dlaczego nie skorzystać? W lesie chłodzik, poziomki, borówki...

— Brawo, księże proboszczu! — zawołała uszczęśliwiona Kwieta. — Jeden ksiądz nie zapomina o nas... Dawniej kilka razy na tydzień urządzaliśmy wycieczki, a teraz jakoś się to psuje...

Lica opromieniła jej radość wielka. Serduszko poczęło kołatać pospieszniej i raźniej, jak przebudzone...

— Ja tak już dawno nie byłam w lesie, prawda, że się wybierzemy? — spojrzała na matkę, to znów na ojca.

— Grzech byłoby nie skorzystać i dać borówkom więdnąć, a coby święty Jan powiedział? — zachęcał Gąślicz.

— To właśnie... — potwierdził proboszcz — a musimy dbać o jego protekcyę...

— O, to najważniejsze, bo ten święty ma wpływy wielkie... — potakiwał Zygmunt, poglądając ukradkiem na Dolańskiego.

— I potencyę, jak mawiał imość Wczele Zagłoba... — dodał Gąślicz.

— U niego nie wszyscy święci mieli jednakie zaufanie, — żartowała Kwieta — nie wszystkim pan Zagłoba dowierzał...

Po twarzy Dolańskiego przebiegł cień niezadowolenia, lecz nim je spostrzegli obecni, znikł nagle.

— Jakżeż więc uradzimy? — odezwał się znów proboszcz, przechodząc kolejno wzrokiem

po Dolańskich. — Panna Kwieta ochotkę ma, a pani dobrodziejka, a głowa domu szanownego?

— Ależ owszem, dziękujemy deputacyi za pamięć, jak i wysyłającemu, korzystajmy ile się da... czas po temu... — mówił Dolański na pozór szczerze, chociaż w duszy nie było śladu zadowolenia. — Ty Aniu — zwrócił się do żony — jeźli masz ochotę, weź udział z Kwietą, zabawcie się, ale ja proszę serdecznie o wyłączenie... jak na złość dziś jestem skonweniowany ważną sprawą w Wołkowicach, będę u Ruczewskich po południu, nie mogę zatem...

— Czyż aż tak ważna sprawa, panie dziedzicu, by nie można poświęcić kilku chwil dla rozrywki? — zapytał Zygmunt.

— Właśnie. Są pewne interesa gospodarskie... A kiedyż się państwo macie zamiar wybrać — zmienił temat — i dokąd?

— O trzeciej po południu; za miejsce zaś wycieczki wybraliśmy dawną naszą polanę w pańskim lesie.

— Tą nad stawami.

— Tak.

— Mocno żałuję, że nie mogę, ale w Wołkowicach zabawię pewnie do wieczora.

Chciał powiedzieć jeszcze, że miał jechać z żoną i córką, ale ze względu na proboszcza przemilczał o tem. Nie chciał odmawiać, ani krępować zony, chociaż przyjął tę wieść, jak niemiłą

pigułkę. Starano się go nakłonić jeszcze, ale bez skutku. Wszyscy uczuli przez to wewnętrzne zadowolenie prócz księdza, któremu było to obojętne.

Proboszcz chciał ofiarować konie i bryczkę do lasu, ale dziedzic nie pozwolił, dając sam obszerne lando.

Mimo pewien kłopot Dolańskiej i Kwiety, sprawa wycieczki rozwiązała się pomyślnie. Wdzięczne były proboszczowi, a raczej Zygmuntowi za tą »deputacyę«, w której domyślały się napewno jego ręki.

Kwietę paliło pragnienie, by jak najprędzej wyjechać z domu w las, na większą swobodę — przy ojcu w ostatnich czasach czuła się skrępowana i jakby obca. Chłodna rozmowa z Zygmuntem, a szczególnie to »pan« sprawiało jej przykre poniekąd wrażenie, zła była, ludzie muszą się tak nastrajać i kłamać sobie wbrew wewnętrznej chęci i przekonaniom.

W ostatnich dniach wzmógł się w niej głód swobodnej rozmowy z nim, czuła nagłość wielu zwierzeń, pragnęła jego spojrzenia i kochających słów, jego dobrego śmiechu i zadowolenia.

Dolańscy chcieli zatrzymać gości na obiad, lecz ci wymówili się pewnemi przeszkodami. Ułożono jeszcze niektóre sprawy, tyczące się majówki i »deputacya«, odprowadzona do wiejskiego gościńca, rozeszła się do domów.

Wkrótce po obiedzie Dolański rzeczywiście wyjechał do Wołkowic. Odjechał skwaszony, jednakże sprawy, w jakich się wybrał, nie pozwalały mu zastanawiać się dłużej nad świeżem niezadowoleniem — chęć interesu pochłonęła go prawie całkowicie.

Swobodniejsze kobiety poczyniły przygotowania, nie zapominając i o pledach — postanowiono bowiem wrócić późnym wieczorem. Kwieta przysposobiła również strzelbę.

Przed godziną trzecią wysłały lando po wycieczkowców do wsi i, dosiadłszy się do nich pod dworem ruszono wesoło dworskim gościńcem ku lasowi.

Largo, baraszkując, biegł koło powozu.

Pogoda dopisywała w całej pełni. Niebo gdzieniegdzie tylko miało na sobie płynące białe chmurki, jak stada srebrnych ptaków.

Słońce dokuczało trochę, jednakże mały zefirek chłodził twarze jadących niewidzialnym wachlarzem.

Powóz, przepełniony za wielkim ciężarem, siadł prawie na resorach, wzbudzając krzykliwe śmiechy przy każdym wyboju drogi.

Proboszcz pokaźną wagą przechylał powóz na swoją stronę, ściągając na siebie przy większem wstrząśnieniu rozweselone sąsiedztwo.

Najbardziej dokuczał mu Gąślicz, siedząc prawie na kolanach i deptał niechcący nagniotki

duchownej osoby, zmuszając co chwilę do bolesnego krzyku i lamentu.

Zygmunt siedział po przeciwnej stronie z Kwietą, wtulony w róg powozu, niby w zakątek raju. Szczupłość miejsca nie pozwalała im na dogodniejsze rozparcie, przeto Kwieta trzymała ramię poza plecyma Zygmunta, chwytając się go przy każdem nachyleniu powozu.

Bił od niej jakiś żar, rozchodzący się po ciele tysięcznymi prądami, siekł nerwy, jak nagłe dreszcze i ściągnął je niby struny.

Był przy niej blizko, prawie twarz przy twarzy — przy szczęściu.

Dziś miała na sobie kraciastą wiejską chusteczkę, spiętą na tyle głowy. Niewysłowienie pięknie było jej w tem nakryciu. Nie widział jej jeszcze w tem niby skromnym, a tak zachwycającym ubiorze; twarzyczka jej ujęta ukośnym dyademem porywała jakąś sielską ułudą, ukazując pastel delikatnego ciała tak czarujący, jak kolor płatka, wyrwany z pośrodka kwietnego pączka.

Szafir ócz, patrzący z pod rzęs, niebiańsko zlewał się z urokiem lic, tworząc całość doskonałego piękna.

Stalowe źrenice Zygmunta pożerały ją w każdym calu, zatrzymywały się w zachwycie na tym szafirze i subtelnym różu ust, pochłaniały

dwoma węglami w siebie niby narkotyk upojenia, topniały w rozmiłowaniu bezkresnem.

Po półgodzinnej jeździe wjechano w las. Chłód, przepojony żywiczną wonią, powiał zewsząd. Las stał w poważnem zadumaniu spokojny, cichy.

Jakby oczekiwał ludzkich głosów, bo przyjął je z pogodną radością i echem ponosił w dal, w knieje półmroczne.

— Hop! hop!... — rozeszły się wołania, las je powtórzył tysiąckrotnie, roznizał i przetonił.

Leśna droga była bardziej wyboista. Tu i ówdzie wychylał się z ziemi zgiętem kolanem korzeń sosny, czy dębu, podrzucając koła. Wzmagały się okrzyki i śmiechy, hałas i gwar wybuchał różnorakim tonem głosów. Las dudniał i rozgwarzył się pełną piersią, jakby oczekiwanie jego spełniło się w całości.

Po krótkiej chwili powóz skręcił w boczną linię i za niedługo ukazała się łąka, a za nią wielkie koło stawu.

Pod rozłożystym dębem na kraju lasu jadący zatrzymali się jednogłośnie; tu postanowiono rozbić obóz.

Kosze, przysposobione przez Dolańskie, jak i plecak proboszcza i wiktuały innych, poznosiła pokojówka Frania na ziemię i ustawiła pod drzewem.

Wesołości nie było końca. Gąślicz szczególniej dziś nastrojony rozluźnił wodze żartobliwej muzy,

nie folgując ani na chwilę szczerym wybuchom śmiechu.

Proboszcz Jarząbek usiadł rozsapany pod dębem i ścierał obfity pot z pełnej twarzy i karku.

— Powiadam, że upał to czyściec dla niektórego rodzaju ludzkiego... Piecze, jak na równiku, lub pustyni — uf!... — dmuchał, wydymając wargi. Rozpiął rewerendę pod szyją, kołnierzyk przepocony i zmięty, jak chustka, wyciągnął z pewną ulgą i sapał dalej, jak zmęczony nilowy koń.

— A jakżesz z wycieczką w las, księże proboszczu? — spytał Gąślicz, uśmiechając się nieznacznie.

— O, panie medyku, muszę odpocząć choć godzinkę, za chłodu dopiero się ruszę... Powiadam, że spacer za chłodu najmilszy i najzdrowszy... Wiecie co, państwo — zwrócił się do obecnych — możeby tak winka po lampeczce... to ochłodzi, wzmocni, doda animuszu, spróbujmy, no... — chciał wziąć swój plecak, lecz przeszkodziła temu pani Dolańska, każąc Frani wydostać butelkę tokaja.

Proboszcz zgodził się chętnie. Wypili wszyscy po kieliszku i przegryźli bułką z pasztetem.

Niespokojny Largo wymachiwał ogonem, prosząc tym sposobem o kąsek.

— Poziomki, poziomki!... — zawołała nagle Kwieta z pobliża — patrzcie się co poziomek!...

Młodzi skoczyli w las.

Rzeczywiście poziomek było w bród. Zwieszały się rumiane na wiotkich szypułkach, to kryły się pod listki, dojrzałe, pełne, soczyste.

Proboszcz z panią Dolańską zostali pod drzewem.

— Wie dobrodziejka kolatorka, my zostańmy aż się nieco podchłodzi... Mimo, że cień, ale powietrze parne, dokucza...

— Przecież jegomość postanowił spacer... — śmiała się Dolańska.

— No, tak, tak... ale sfolgować troszku można...

Przed oczyma siedzących rozciągał się szeroki staw, zarosły około brzegów sitowiem.

— Ot, cyranki! — zauważył ksiądz — widzi dobrodziejka? Raz, dwa, trzy... sześć ich razem.

Kaczki, nie spodziewając się niczego, pływały spokojnie po tafli wody koło sitowia.

— Kwieta, chodźno! — zawołała Dolańska — cyranki na stawie... zdaje mi się, że wzięłaś strzelbę!...

— Jest, proszę jaśnie pani — potwierdziła Frania, krzątająca się koło koszów.

— Pokaż mamo, gdzie? Chodźcie państwo, upolujemy kaczkę!... — niepokoiła się Kwieta, jak każdy, mający żyłkę myśliwską.

— Widzisz, tu naprost na stawie.

— Aha!... Czekajcie wezmę strzelbę, Franiu, gdzie ona?

Pokojówka pobiegła do powozu, który odjechał

nieco dalej i przyniosła strzelbę, razem z huculską, myśliwską torbą.

Kwieta wsunęła dwa naboje »szóstki« w rurki Hamerlesu.

Broń zwróciła natychmiast uwagę psa.

— Largo, do nogi, tu!... — rozkazała Kwieta, spoglądając skądby najbliższy można wziąć dystans. — Może kto inny strzeli? — zapytała, stojąc jeszcze w miejscu. — Może pan, panie Zygmuncie?

— Dziękuję, niech pani teraz strzeli, ja później z drugiej rurki.

— Dobrze, chodźmy więc razem, stąd podejdziemy najbliżej.

Podeszli przychyleni do najstosowniejszego miejsca. Reszta pozostała pod dębem, czekając ciekawie na wynik. Nawet proboszcz podźwignął się z ziemi, zdjęty ciekawością.

Kaczki, jakby przeczuły grożące im niebezpieczeństwo, poczęły się oddalać. Znajdowały się teraz na odległość jakich ośmdziesięciu kroków.

Kwieta złożyła się do strzału. Za moment rozległ się huk. Wszystkie kaczki zerwały się w górę, jednakże jedna zaraz nad wodą opadła.

— Jest! — krzyknęła uradowana Kwieta.

Zygmunt porwał teraz błyskawicznie strzelbę z rąk Kwiety i wypalił raz drugi do unoszących się cyranek, tuż prawie nad nim.

— Brawo! — zawołali wszyscy — jest druga!...

— Buch!... — zażartował Gąślicz, udając strzał — trzecia!...

Ubity ptak spadł do wody koło Zygmunta. Pierwsza, ranna widocznie, trzepotała się na wodzie.

Spostrzegł ją pies i na dany rozkaz skoczył w wodę; okazał się jako dobry i odważny pływak. Z początku gęste sitowie utrudniało mu pływanie, jednakże po chwili trudu dostał się do celu. Chwycił w pysk, żyjącego jeszcze ptaka i zawrócił z dumą ku brzegowi. W drodze musiał udusić ofiarę, bo oddał ją właścicielce już martwą.

Zziajanego psa poklepywała Kwieta po karku, chwaląc jego zdolności.

Echa strzałów zgłuszyły się w lesie, natomiast stada wron, spłoszone hukiem krążyły w górze z wrzaskliwem krakaniem.

— Wiwat myśliwi! — zabasował proboszcz. — Na ich zdrowie!... — porwał flaszkę i nalał do lampki złotawego płynu. — Dalej panowie, ile kropel!...

Napełniono jeszcze po kieliszku, ale panie już odmówiły.

— Księże, a za moją kaczkę nic? — dopominał się Gąślicz?

— A gdzież więc pańska?

— Testament poszła napisać, śmiertelnie strachem rażona... — odpowiedział Zygmunt.

— Właśnie, Zygmunt prawdę powiedział... fara znów się podreperuje...

— Więc wiwat!... — nie dał się prosić ksiądz.

— Kaczki i fara i Węgry, co taki napój płodzą... -- dodał Gąślicz.

— A co z poziomkami, panowie? — przypomniała Zosia.

— Idziemy, idziemy!

Zostawiono zdobycz przy proboszczu i Dolańskiej i udano się w las.

Od borówek aż się czerniło. Zbierano na razie tylko poziomki, zostawiając borówki na później.

— Zosiu — odezwał się Gąślicz — co wolisz, czy tę garść poziomek, czy mnie?

Zosia wyprostowała się, patrząc na niego.

— Poziomki...

— Tak? To je zjem... — i wsypał poziomki do ust.

— Nie dobryś...

— Więc dlategoś mnie nie wybrała?

— Tak! — wyrzekła z miłym przekąsem.

— Dziękuję... — odpowiedział i schylił się ku jagodom.

Ossockie również, jak i Kwieta, miały na głowach chusteczki. Wdzięcznie wyglądały ich główki w tym niewybrednym stroju, jak na obrazku. Szczególnie twarz panny Anielci robiła wrażenie świeżuchnego, zarumienionego pączka, co tylko

wziętego z patelni i obłożonego ponętną koroną konfitur.

Zosia miała w sobie więcej klasycznej krasy, doskonalszej, prawie już pełnej.

— Władek, a co ty wolisz, czy tę garść poziomek, czy mnie? — zapytała w rewanżu Zosia.

— Ciebie.

Zosia nie wiedziała, co teraz odpowiedzieć.

— Pewnie się zjesz, co? Nie, to ja cię zjem! — podskoczył ku niej i skradł całusa, zanim miała czas pomyśleć o obronie.

— Władek, patrzą się wszyscy...

— To mi zupełnie nie przeszkadza przecież...

— Lepiej zbieraj poziomki... — grymasiła.

— Służę ci, Zosiu... — i poczęli razem obrywać różowe jagody.

Obawa Zosi była zbyteczna, Zygmunt bowiem zajęty nie tak zbieraniem, jak rozmową z Kwietą, odłączył się od nich dalej, pochłonięty szczęściem, że znów jest razem z umiłowaną istotą, że mogą mówić swobodnie, mając za świadków chyba te drzewa boru.

Jedna Anielcia nie miała towarzystwa, lecz i do niej przyłączyła się po chwili Frania — i tak trzy pary zapuszczały się wolno w las.

— Kwieteczko, mamusia została sama, jakżesz to wypada... może się wrócimy, co? — mówił do Kwiety Zygmunt, chociaż dusza gorzała mu pragnieniem słodkiego sam na sam.

— Mamusia została z księdzem proboszczem, ale wrócimy się i tak za chwilę. Mam ci tyle rzeczy powiedzieć... Ty nawet nie przypuszczasz, co...

Coś, jakby pewien lęk, przebiegło po ciele Zygmunta.

— Cóż takiego, Kwieteczko złota?

Oglądnęła się wokoło.

— Chodźmy dalej; straszliwie chcę być z tobą sama...

Poszli. Zarośla leszczyny zasłoniły ich zupełnie.

— Usiądźmy tu na wałku, Zygmunt...

Siedli na miękkim mchu wśród paproci.

Kwieta oparła się bokiem na kolanach Zygmunta, siedząc u jego nóg. Spojrzała mu w oczy z przemocnem umiłowaniem, tęsknotą źrenic zawiesiła się na nim, niby koniecznością nieprzepartą.

Przycisnął w zamian jej rękę do ust, ciepłą, przemiłą, ukochaną.

— Skarbie mój... — pieścił wargami drobne paluszki. — Jak ja cię kocham, dziewczę najdroższe, Bóg widzi... — zamilkł, tylko dłoń jej przyłożył do swoich ócz, przycisnął je mocno, jakby tę miłość gorejącą w sercu i pożarem buchającą w mózg, pragnął jej dłonią ułagodzić, przyciszyć nieco.

Miłość dojrzała już w nich i nieodłącznie nachyliła serca ku sobie, jak źrałe kłosy.

Zjawiła się, jak nagłe orędzie Erosa, zniewoliła swą mocą, nie wiedzieć kiedy.

Ten krótki stosunkowo czas bliższego poznania wydawał się im już wiekiem gorącej miłości, jakby z kołyski wyszli z nią, jakby wspólnie zrośnięci uczuciem onem.

Wierzyli prawie w to wyhodowanie serc, tacy swoi czuli się w sobie, jak kwiaty jednego pędu.

— Mój, do śmierci mój... — główkę złożyła mu na piersi, którą całował jakby największą świętość.

Płomień serc połączył usta, zlał w jeden kielich rozkoszy, w jedną tajemnicę pień szczęścia, w oddanie jedno.

Słodycz milczenia spłoszyła słowa na świątynną rozmowę serc...

Las patrzył cichy...

W onej cichości zastygły drzewa na chwilę, widząc słodkie misteryum dusz ludzi.

Las zadrżał...

Głośne »hop-hop!...« zmąciło ciszę.

To panna Zosia nawoływała.

Wnet głos Anielci rozległ się echem, za nim księdza.

— Zygmunt, ja ci coś powiem... — podniosła nań oczęta niby wyraz największego uszczęśliwienia.

— Mów... mów...

— Mamusia moja wszystko już wie... zwie-

rzyłam jej miłość naszą, jeszcze wtedy, w ten wieczór...

Niespokojny cień przebiegł przez twarz Zygmunta i zatrzymał się na niej chwilowo.

— Powiedziałam jej, nie tając nic, ani jednego słówka... Twe słowa nawet — i wiesz co, Zygmunt?...

W oczach zamigotało mu pytanie.

— »Kochaj go, dziecko, kochaj...« To słowa matki. Kochać mi cię kazała... nasza miłość — to jej szczęście, ty ani nie wiesz... Łzy w oczach miała, płakała nawet cicho... Och, jaka ona dobra, a nieszczęśliwa... bardzo... bardzo...

Zygmunt słuchał w skupieniu.

— Więc powiedziałaś to wszystko?

— Tak... I takam szczęśliwa, że ona wie... Przed ojcem tylko kazała mi zamilczeć. On teraz stał się taki dziwny, surowy — wiesz odkąd? Od tego czasu, kiedy mamusia twa przybiegła do nas... Ty już wiesz kiedy... Ale słuchaj, ty musisz wiedzieć jaki to powód... ja coś się domyślam... Mamusia przechowuje fotografię ojca twego... chowa ją skrycie... To jakaś tajemnica... Zygmunt, może ty wiesz coś, powiedz...

Nie chciał taić przed nią i nie widział powodu — opowiedział jej więc w krótkich słowach, co słyszał od ojca.

— Zygmunt, ja to czuła, że oni się kochali, a nawet do dziś trwa miłość ona, ja wiem...

— Dziwne koleje losu i straszne!... — wybiegło mu z ust, jak odgłos cierpiennego współczucia. Ta nieszczęśliwa miłość stanęła przed nimi jak postać drogiej osoby, która już w grobie.

Smutek powiał po nich i zamysł jakiś...

— Och, żeby ten los nie spotkał nas, dziewczę najdroższe, bo chyba ma śmierć byłaby epizodem tej męki, Kwieteczko... — przygarnął ją ku sobie i począł pieścić, tulić...

— Nie, nie! My dla siebie... nie myśl o śmierci — po co?... Tyś mężczyzna, ty ukuj życie... ty chciej!... Kogo żebrać o szczęście, gdy ono nasze... Zygmunt!...

— Wiem... nie ulegnę... moją będziesz wbrew wszelkim przeciwieństwom... będziesz!...

Jak gołąb drżała mu w objęciu — spijał jej dobroć z ócz, z ust — słodycz.

Nie mógł pojąć, by ta cieplarniana latorośl miała taki hart w sobie, taką niezłomność.

I odnajdywał w sobie miłość do ostatecznego ogromu, uczuł, że ona całem mu teraz życiem... już wszystkiem.

Słuchał jej słów i zwierzeń, słuchał marzeń wiośnianych... I wchłaniał w siebie słowa jej matki, to mówił jeszcze o ojcu, Borkach, nieszczęściu... mówił poczciwie, słodko, jak sama dobroć — i sam się zwierzał cichością duszy.

Była to mowa dwóch serc, klęczących przed sobą w modlitwie ukochania, bez istności jakie-

gokolwiek rachunku, coby był niesamowitym czynnikiem spójni ich dusz, coby mącił nieskalaną pogodę błękitu tej miłości...

Nie było w tem wiernem przywiązaniu ani odrobiny fałszywego tonu, jednej iskierki sztucznej — — powstało tak naturalnie, jak się rodzi ziarno, czy bylina...

Znów zadrżał las nawoływaniem.

— Hop, hop!... — odpowiedział tym razem Zygmunt, a za nim Kwieta, czyniąc z dłoni trąbkę około ust. Głosik jej srebrny rozbiegł się dźwięcznem echem, niby ton dzwonka.

Po tym okrzyku stała moment nieruchoma, nadsłuchując na ponowny odzew.

Porywająco piękna była w tej pozie bezwiednej, z piersią podaną ku przodowi i głową pochyloną nieco ku prawej stronie, a lekko podtrzymywaną ręką, złożoną w ostry, ukośny łuk.

Rękaw kimono odsłonił śnieżny alabaster prawego ramienia, nęcąc ku pocałunkowi.

Zygmunt spojrzał na nią olśniony.

— Boginie leśne wywabisz i uprowadzą mi cię, jako siostrzycę swą, rusałko ty urodziwa, moja... — nie mógł się oprzeć urokowi i niewinnej pokusie i, objąwszy w pół, przycisnął ją do piersi gorąco, okrywając szyję i obnażone ramię licznymi pocałunkami.

Nawoływania z lasu stawały się coraz częstsze

i bliższe. Rozprószone pary zbliżały się ku sobie, zrywając po drodze czarne borówczyny.

Słońce, staczające się coraz niżej patrzyło zyzem przez iglaste korony sosen długiemi łancetami blasków. Kładły się one lubieżnie na wilgotnych pluszach mchów i rozpierzonych dachach paproci, skradały się ciekawie w cienie różnorodnych zarośli a, dotarłszy do nich zwycięsko, tarzały się chwilę po zdobycznej pościeli, pieściły się nią, to plozły się dalej zaborczo — migotliwemi plamki.

Upał dnia zmienił się w przyjemny chłód powietrza.

Białe chmurki zginęły gdzieś w błękicie nieba, nie zostawiając śladu.

Śniło się odwieczerze.

Proboszcz z panią Dolańską przez cały ten czas nie opuszczali cienia dębu, rozmawiając o bieżących różnościach, które, rzec można, interesowały księdza zawsze.

— Bo wie dobrodziejka — prawił Jarząbek, gdy zeszli na temat Ruczewskiego — wyroki Opatrzności są niezbadane... Człowiek strzela, powiadam, a Pan Bóg kule nosi. Ja, gdybym był wiedział, że nasz Zygmunt chce się z nim bić — byłbym koniecznie przeszkodził... Nie tak może dlatego, że wiara nasza potępia pojedynki, ale z obawy o Zygmunta... Gdyby tak był padł?... Wiemy, że pan Henryk strzelec pierwszej wody...

ale dzięki Ci, Boże, że stało się inaczej... Wtem jest wyraźny palec boży. Czy nie szkodaby było tego człowieka, który może być wzorem dla wszystkich? Strach pomyśleć... ginąć — i za co? O honor marny?

— Myślę, — przerwała Dolańska — że honor to cała wartość człowieka. Ja bywszy na miejscu pana Ossockiego postąpiłabym tak samo...

— Co, biłaby się dobrodziejka?

— A co ksiądz myśli... bez wahań!...

— Honor... no, niby tak... Ale przecież to w stosunku do wartości życia, powiadam, rzecz o wiele mniejszej wagi.

— Że pan Ossocki wyzwał — postąpił po rycersku. Jakby ten człowiek wyglądał, gdyby na zlekceważenie go nie reagował? Czy to Ruczewski lepszy od Ossockiego? Wartość moralna tamtego i tego nie da się porównywać nawet... A co się tyczy rodu — to ja wiem najlepiej kim są Ossoccy. Księże, on musiał wyzwać, bo to było jego obowiązkiem i powinnością świętą. Byłoby tylko stratą nieodżałowaną, gdyby padł z ręki takiego człowieka. Pan Henryk... znamy go przecież nie od roku...

— Z ust mi to wyjęła dobrodziejka, okazało się przecież... Przepraszam, że dotknę struny, tyczącej państwa, ale, powiadam, gdy mię doszła pogłoska o planowanym maryażu między nim, a panną Kwietą — to struchlałem... Gdzież mnie

się w to wdawać, ale nie wiem, byłbym świat podkopał, by tego anioła, powiadam wyraźnie, nie dać w ręce tego człowieka... Nieraz byłem w jego towarzystwie — poznałem go od pierwszego wejrzenia co to za ziółko... Powiadam, ja go już poznał dobrze. Ho, ho! ja ludzi znam!...

— Księże, do tegoby nigdy nie doszło. Ale nie mówmy o tem, zostawmy to lepiej na boku... — powiedziała to takim tonem i gestem, że proboszcz domyślił się łatwo wszelkich przeszkód, jakieby stały na drodze temu maryażowi. Znał do tego trochę interesa pana Macieja, tyczące Wołkowic, które mogły nasunąć ostateczną wątpliwość podobnych zamiarów. Chociaż to, że pan Maciej kupował od Ruczewskich cały kilkuset morgowy klin lasu, zachodzący w dobra olszowieckie, mogło świadczyć raczej o jego przedsiębiorczości, jaką odznaczał się w szerokiej okolicy — i jeśli więc kupował, to dla córki, zięć zatem mógł być wyposażony kapitałem, którego właściwie Ruczewskim było potrzeba, resztę zaś ziemi mogli zostawić na wiano jeszcze dwojga dzieci.

Jednakże proboszcz nie zastanawiał się nad tem dłużej; słowa pani Dolańskiej wystarczały mu zupełnie. Nie dziwiła go również wyraźna oziębłość dziedziczki do Ruczewskich, bo jako długoletni spowiednik przechowywał wiele jej tajemnic; wiedział także o niezatartej ranie jej serca, a w ostatnich czasach i o zajściu z mężem,

zwierzyła mu się ze swoich pragnień i Kwiety — ufała mu, wiedział co duszą jej kieruje, jaka myśl i chęć jedyna — — nie dziwił się więc tym karkołomnym urojeniom, ale i w skutek ich nie mógł uwierzyć w żaden sposób, znając Dolańskiego i jego aspiracye.

Dla Kwiety i jej matki usposobiony był nadzwyczaj życzliwie — pierwszą lubił za dobroć i demokratyczne zapatrywania, w tej drugiej szanował ból i tyloletnią mękę niewoli, znoszoną z całą godnością, mimo przymusowe poświęcenie.

Z Dolańskim żył, jak tego wymagała okoliczność, ale widział w nim chodzącą maskę, brak towarzyskiej szczerości — słowem, nie miał doń właściwego zaufania.

Czas ubiegał prędko, a pora posiłku była już najwyższa.

Jakoż niedługo zebrało się towarzystwo wśród wesołego śmiechu i niewinnych przekomarzań.

Rozciągnięto na trawie trzy koce, przywiezione przez panie Dolańskie, stawiając kosze w pośrodku.

Dobry apetyt patrzył z ócz wszystkim. Na propozycyę proboszcza rozpoczęto koniakiem spożywanie darów bożych, jakich troskliwość dziedziczki przysposobiła obficie.

Largo, wynudzony przedtem przy proboszczu, leżał teraz u nóg Kwiety zadowolony wielce, pro-

sił co chwilę wzrokiem o kosteczki kurczęcia i brał je z drobnych paluszków swej pani z całą psią dworskością, delikatnie.

Zygmunt, choć dużo mówił, ale, zdawało się, jakby unikał wzroku pani Dolańskiej, wiadomość bowiem, że Kwieta zwierzyła matce ich miłość, czyniła w nim uczucie jakby winowajcy, co sięgnął po zakazany owoc tajemniczo, bez jakiejkolwiek aprobaty. Jak mógł otrząsał się z tego wrażenia, jednakże szło mu to trudno.

Kwieta natomiast była wesoła jak rzadko, radość wielka patrzyła z błękitu jej ócz, zwracanych przeważnie na Zygmunta, to matkę, jakby jej mówić chciały: Patrz, jaki on piękny, jaka dobroć niezmierna maluje się na jego twarzy, patrz, ile miłości w jego czarnych, stalowych źrenicach... i czyż on nie musi być kochany, czy można oprzeć się jego spojrzeniu, nie przylgnąć do tej pięknej, męskiej postaci?...

Do niepamięci podobał jej się ten Zygmunt. Biała, z wywijanym kołnierzem koszula odsłaniała jego silny kark, jak u greckiego bożka, rozwidlający się ku dołowi szeroką i zdrową ścianą piersi.

Lubiła napawać się jego męskością. Nie mogła pojąć dziś, jak istnieć mogła przedtem, nie kochając go, ani widząc przez dwuroczny czas, chociaż zdawało się jej chwilami, że tę miłość żywi do niego od dawna już, bardzo dawna.

Zdawaćby się mogło, że czucie jej porywa wielka egzaltacya, że unosi się w regiony niepojętych snów, w krainy marzeń niespełnialnych, że miłość ta jest w niej poniekąd urojeniem i wmową dziewiczej duszy, spostrzegającej pierwszy szczebel tego najważniejszego okresu życia, że to ułuda nieprzeżywanych wrażeń — ale wpatrzywszy się w głębię oczął jej szczerych, widziało się na ich dnie stanowczą prawdę wnętrza i nieomylne poznanie serca. Miały bowiem wyraz dostojnego odpoczynku i to zadowolenie, jakie się widzi w oczach artysty, co, ukończywszy dzieło gruntownie, patrzy nań zdala już bez jakiejkolwiek krytyki, ale z podziwem odpoczywającego ducha.

Leciuchny wietrzyk powiał od stawu aromatem wodnych kaczeńców. Las palm, rosnących u brzegu, zachwiał się łagodnym ukłonem na wszystkie strony, jak kłania się zboże, całowane wiewem zefiru.

Słońce kąpało się w wielkiej tonzurze stawu, świecącej, jak okrągłe lustro wśród obramowań situ i palm, zlało się z nią w jedną powódź przejasnych blasków, że niewiadomo było, kto kąpiel dla się urządza, czy staw w słonecznej jasności, czy słońce w wodzie. Natura z słońcem wspólnie pławiły się w sobie

Ujęty w ramy boru staw, wyglądał niby olbrzymia źrenica, patrząca ku niebu, mrużąc się

niekiedy zmarszczkami fal, to wygładzała się do niezamąconego bezruchu długiem, modlitewnem wejrzeniem.

Lazur niebios odbijał się w wodzie, barwiąc ją światłem swego koloru.

Las patrzył w cichej zadumie.

Biesiada wycieczkowców skończyła się właśnie, teraz radzono nad resztą dnia, jakby ją spędzić. Postanowiono wypocząć jeszcze chwilę i udać się gremialnie na spacer do lasu.

Chłodzik już był, zatem i proboszcz zajął się żywo przechadzką, jako kuracyjną koniecznością.

Teraz trzymał przy sobie pannę Anielcię, gładząc ją po policzku, która to pieszczota zarumieniła ją, jak wisienkę.

— Nie tak się głaska, księże proboszczu — zwrócił mu uwagę Gąślicz — o, jak to niezgrabnie... To tak wygląda, jakby ksiądz głaskał jeża... Tak ostrożnie, niedowierzająco... Tak się ma głaskać, tak... tak... — pokazał mu na policzku Zosi.

— Władek, nie gorsz księdza dobrodzieja i nas wszystkich... — uśmiechnęła się Zosia i odsunęła się prędko od niego. — Nieznośny jesteś...

— A widzi pan — rewanżował się proboszcz — pan znowu głaska jak trwożliwego zająca...

Słowa jego zdobyły poklask i pobudziły do nowego wybuchu śmiechu.

— Dobrze tak panu, panie Gąślicz, niech pan

nie zaczyna z dobrodziejem — przedrwiwała zeń Kwieta — bo to nie łatwa sprawa..

Chciała dodać, że gotów byłby proboszcz wydać mu krucyatę, jak żydom, chociaż tylko na języki, ale, nie chcąc żartować z poczciwego księdza, wolała przemilczeć to zdanie.

Po krótkim odpoczynku powstano z miejsc.

Zosia, rozmawiając z Kwietą, szły pierwszą parą w las, za niemi proboszcz z Aniecią i Gąśliczem, Zygmunt zaś zatrzymany przez panią Dolańską stał z nią jeszcze pod dębem.

— Szkoda, że pan Gąślicz wyjeżdża już za trzy dni — mówiła Kwieta w toku rozmowy — on taki wesoły i pocieszny...

— Trudno, musi jechać; teraz zdaje egzamina, ma obliczony każdy dzień, obecnie tylko tak wpadł, wiedząc, że przyjechałam.

— On panią musi bardzo kochać, poznać to po nim, po jego oczach...

Zosia nie spodziewała się tych słów, choć, co prawda, ucieszyła się niemi.

— Znamy się przecież od dzieci prawie...

— Jakie to szczęście kochać kogoś z tą wiarą, że tej miłości świat nie zaprzeczy, że ją uzna i uszanuje... — głos jej był owiany jakimś smutkiem i żalem przez tą niesprawiedliwość, co gubi tyle ofiar miłości, co je prześladuje i dręczy.

— Pani, jak widzę, czuje żal do złośliwości świata?

— Nawet wielki; świat taki zawistny...

— Panią coś musi smucić, panno Kwieto, nieprawdaż? — poznała, że Kwieta radaby się z czegoś zwierzyć, zwracając się więc do niej z całą serdecznością w oczach, mówiła dalej: — Niech pani powie, jak widzę, pani myśli o czemś ustawicznie, chociaż stara się to zatuszować wesołością... Coś musi panią niepokoić, może i martwić... Bądźmy przyjaciółkami i nie miejmy przed sobą tajemnic — dobrze?

Kwieta uścisnęła gorąco dłoń Zosi.

— Jakaś ty dobra, Zosiu... Będziemy sobie mówić przez »ty«?

— Jakże jabym mogła mówić pani »ty«?

— Czemuż nie? Och, Boże, czyż wy wszyscy kierujecie się tym obrzydłym konwenansem? Cóżto ja jestem? Taki marny atom, jak i ten żebrak z ulicy... — o mało nie ukazały się jej łzy w oczach.

Zosia odczula to natychmiast z drżącego głosu Kwiety.

— Dobrze, zgadzam się już. Więc zostajemy wiernemi przyjaciółkami na zawsze?

— Na zawsze, Zosiu!

Spojrzały sobie w oczy i poznały, że pokochały się prawdziwie.

— Co ci więc dolega, Kwieteczko, żeś czasami taka smutna i zamyślona? Teraz mi chyba powiesz, jako swej przyjaciólce...

— Nie, nic mi tak dalece nie dolega —

owszem, nawet szczęśliwa się czuję. Czasami tylko przychodzą takie czarne myśli... ale wiesz, chodźmy prędzej, odejdźmy dalej od towarzystwa, powiem ci coś o sobie i Zygmuncie, droga Zosieńko...

Poszły w głąb lasu, trzymając się pod ramię.

— Więc tak ksiądz mówi, że dziś nie będzie wieczór księżyca? — pytał w tym czasie Gąślicz proboszcza.

— Będzie, ale później; wschodzi dopiero koło dziesiątej.

— Przepraszam, bo o siódmej. Ale gdyby się przypadkowo spóźnił do dziesiątej, to poprosimy księdza proboszcza, by raczył uchylić kapelusza — i będziemy wyobrażać sobie miesięczny wieczór... Dobrze, księże proboszczu?

— Na pięć minut mogę wam poświecić, ale na dłużej się nie piszę. Komary, panie, by mię obgryzły, jak osy gruszę...

Anielcia była zmuszona do ustawicznego śmiechu. Gąślicz dowcipkował, ale i proboszcz nie zostawał dłużen.

Dolańska i Zygmunt weszli również w las.

Dziś nadarzyła się jej sposobność pomówić z nim o tej miłości. Nie przerywając więc tematu ciągnęła dalej:

— Niech wam Bóg da szczęście, panie Zygmuncie... Miłość prawdziwa każda jest święta... Sąście jeszcze młodzi, czekajcie na lepszą przy-

szłość — może się losy zmienią... Teraz otulcie swą miłość tajemnicą... pan wie, co jest... pan zna ludzi i świat... Bóg wie najlepiej, jak pragnę waszego szczęścia, bo wyście dla siebie przeznaczeni — tak czuję... i jak gorąco modlę się o to. Panie Zygmuncie, niech pana nic nie zraża, niech pan wierzy i stawi dumne czoło wszystkiemu i wszystkim! Może spotka pana wielka walka i ciężka, ale to nic... Pan jest Ossocki, niech pan nie zapomina, nazwisko starczy panu za majątek. Zresztą prawdziwym magnatem jest szlachcic z szlachetną duszą. Miejmy nadzieję, że Bóg ułoży to szczęśliwie, choć ciężkich może prób nie poskąpi... Ja bo wam już dziś błogosławię... — podniosła na niego oczy pełne łez i niezmierzonej dobroci. Czuła teraz wielką ulgę, jak po wyrządzeniu przysługi komuś, kogo się bardzo ukrzywdziło, a teraz pragnęło się mu zapłacić, chociaż w części za jego łzy — swojemi łzami.

Dając côrkę jako krew swoją macierzyńską i swoją miłość synowi niezapomnianego Piotra, wierzyła, że daje mu wszystko, bo cóż droższego posiadać mogła?

Nie myślała teraz, że jest ojciec, który zabronić może i wszelkie zamiary zniweczyć, że chęci jej pojmowane za święty dług, wraz z upragnieniem szczęścia dla jedynego dziecięcia, podeptać może w proch i zatracić — ale to, na co zezwa-

lało jej serce z całem oddaniem, czyniło tę ulgę i pewnem zapewnieniem bólu wpływało w piersi.

— Dziękuję pani całem sercem... — odezwał się prawie pół szeptem Zygmunt i ucałował jej dłoń z wyrazem największej podzięki.

Było w tych jego krótkich słowach całe morze wdzięczności, wyrywającej się z piersi olbrzymią, aż do dławienia falą, drgało serdeczne czucie nanizane powodzią dziękczynień niegasnących, była siła miłości modlącej się w pokorze.

Przewymowne milczenie ujęło teraz za ręce ich dusze i wprowadziło w świątynię myśli przyszłości.

Wiedzieli, że za progiem tych myśli czyha przeciwieństwo ludzkich pragnień, że szczerzy zęby chęcią żertwy zbielałe — i czeka... Że budzi się z legowiska paryas, jako zwyrodniały płód spokoju życiowego — i bierze symboliczną krużę, wglądając się w nią czy zmieści nowe łzy, cierpienne ziarna...

W płynącej kajucie życia radowała się miłość, a w okół burzyły się złowrogie fale zawiści...

Słońce stoczyło się na brzeg zachodu, żegnając zarówień kwiaty i ciernie.

Wulkanem krwie purpurowej rozlało się po stawie i powale lasu, wpadło rubinowemi strzały pomiędzy obeliski sosen i dębów, ziejąc na wszystkie strony czerwienią, jak płomieniami żywiołowego pożaru.

Drzewa zapalone blaskiem wyglądały jak olbrzymie świece, przygotowane do sabathu przyrody.

Staw gorzał, niby kadzielnica, mieniąc się oślepiająco roztopem lawiny złota i szkarłatu.

Przecichy, tajemniczy szum przebiegł po czubach drzew, potrącił o niezliczone igliwie jakimś szeptem, rozmżył się, niby dreszcz tysiącznych strun, cichym rozwiewem — i w okrąg boru mknął ledwo uchwytny, szepliwy.

Stwarzał się chłód i rośne atomy poczęły perlić powietrze.

Wilżyły się już nieznacznie paprocie i mchy zielone, wsączały mgielne wibry pragnącem ciałem — i w warstewki misterne układały je na sobie, zlewały w ożywcze kropelki, niby napój rozkoszny na ucztę wieczerza i nocy.

Ptactwo leśne rozśpiewało się donośniej, uderzyło dźwięcliwie w dzwonki gardziołków, jakby oznajmiając wszechistnieniu, że chwila modlitwy wieczornej nadeszła, że zapalone lichtarze migocą już...

Wszystko stało się świątynne, dostojne powagą i wyczekujące.

I oto niedługo wyszli kapłani przyrody okryci w togach i zawojach cieni, ciągnąc za sobą rozwiane woale eterycznego półmroku, rozpierzchłego ledwo dojrzanie — legli ku słońcu w ni-

zkich pokłonach postaci i znieruchomieli na czas jakiś.

I w miarę ich misteryów szaty ich mgielne drapowały się w coraz to widoczniejsze fałdy, przędły się w ciemne kontury, jakby pod dłutem niewidzialnego rzeźbiarza.

Las modlił się cichutkim szumem. Gędził słowa modlitwy igiełkami koron, złączonych w baldach nieprzejrzany, mamrotał szeptem rytuały niepojęte — i stał w powadze wielkiej i uszanowaniu głębokiem, niby rycerz wsparty w zadumie o mur zamczyska w cichą, poświatną noc.

Nie wiedzieć kiedy skończyła się modlitwa, a kiej przychodził sen. Albowiem cisza natury stawała się powoli jakby znużona, usypiająca w gorliwości modlitewnych słów — — leniwiła się jakąś ogólną bezmocą i kładła się w utulny stan spoczynku.

Pożoga słońca jakby topniała, lub wsiąkała w ziemię, migotliwe spieki i strugi purpury stawały się łagodniejsze i cichsze w barwie.

Z półciemni lasu wyszedł Zygmunt na brzeg stawu. Czar zachodzącego słońca nęcił go ku sobie i olśniewał krasą wody, zastygniętej w rubinowe radlistwo.

Stanął nie odrywając oczu od szat królewskich, okalających urodę ciała matki-ziemi — i posążniał w podziwie.

Za chwilę wychyliła się z za drzew półbiała

postać kobiety, rzuciła tęsknem spojrzeniem na boki i, zoczywszy stojącego nad wodą, poczęła zbliżać się doń, jak w pięknej, wieczornej baladzie...

Niby czarowny sen oparła się o jego ramię w cichości, nie chcąc płoszyć zachwytu z tych ukochanych źrenic.

Lecz spojrzał na nią głębią szczęśliwej duszy, jak dłońmi objął jej twarz wejrzeniem — i obrócili oczy na staw i słońce, dotykające powieką smugi przeciwległego lasu.

Mrużyło się już w pół-śnie, żegnało ziemię ostatnimi blaski — — tonęło w sen.

Jeszcze źrenica jego widniała do połowy, zapadła niżej, to znów jakby się wznosiła, migotliła się jeszcze, resztę zorzy wabiąc za sobą i ostatnie smugi roztiulonych barw.

Zygmunt ujął pieszczotliwie ciepłą dłoń Kwiety i przycisnął do ust. Był to pocałunek długi, serdeczny, jak przytulenie się duszy do upragnionej miłością istoty, jak wylew rozgorzałego uczucia w ekstazie nietajonej dobroci...

Ostatnie kosmyki promieni zachylały się jeszcze, jak ptaszyna ugodzona śmiertelnie — — — i słońce zgasło.

Tylko na niebie pozostał, niby oderwana poła purpurowej odzieży, ślad królewskiej bytności.

Prawie równocześnie reszta towarzystwa po-

przedzona wesołą rozmową ukazała się na kraju lasu.

Zabłąkane atomy zorzy rozpierzchły się nieznacznie w powietrzu, natomiast szarość ulotna poczęła wychylać się zewsząd.

Zachód płonął coraz słabiej, łagodniej.

Ponad wodą nizała się opona białej mgły, jako dymy kadzielne.

Zapadał wieczór.

III.

Była godzina dziesiąta wieczór, kiedy Dolański powrócił z Wołkowic. Wściekły był, jak nigdy może dotąd. Zamierzona bowiem chęć kupna lasu od Ruczewskich spełzła na niczem.

Jakkolwiek Ruczewski nie odmówił sprzedaży wręcz, jednakże wyraźniej, jak nigdy jeszcze, wyjawili pragnienie ożenku Henryka z Kwietą, tłumacząc zatem, że sprzedaż może nastąpić później, po ślubie. Zauważyli również niewyraźne postępowanie Dolańskiego i półsłówka, jakiemi zbywał zapytania na temat Kwiety i Henryka, ustawiczne odwlekanie, nie dające żadnej gwarancyi, prócz niepewnej nadziei — słowem, poznali zamiary bogatego sąsiada i, kierując się również jego metodą, odłożyli sprzedaż na czasy późniejsze.

Nieobecność Henryka nie odgrywała tu żadnej roli, bo aczkolwiek powrót jego był na razie nie bardzo bezpieczny, jednakże Ruczewscy nie zasypiali sprawy i ile możności starali się przyciszyć w prokuratoryi czyn syna, broniąc go wszelkim możliwym sposobem. I jak się zdawało wy-

siłki ich nie szły na marne, bo jak przebąkiwał Ruczewski, wystarczyło Henrykowi powrócić i usprawiedliwić się przed władzą, że bronił wówczas swojego życia przed niespodziewaną napaścią cyganów, nie popełnił więc zbrodni zabójstwa, lecz tylko działał w obronie własnej .

Co prawda, ciągła Henryka nieprzeparta chęć powrotu do domu — jak o tem pisał do rodziców — tembardziej, że poczęła mu się uśmiechać nadzieja bezkarności. Najważniejszą jednak rolę odgrywała tu myśl o Kwiecie.

Dolański zaraz na korytarzu okazał swój nieszczególny humor, wymyślając lokaja za niezgrabne zdejmowanie zeń prósznika.

Głos zagniewanego dziedzica wywabił Kwietę i matkę z pokoju, które po powrocie z lasu przebierały się właśnie.

Nie szukając sposobności do okazania swego niezadowolenia, przywitał je opryskliwie, zapytując o przebieg majówki z »organiściakiem« i »jakimś tam« Gąśliczem.

Urażona Dolańska nadmieniła ironicznie, że był także i proboszcz i znikła z córką za portyerą drzwi.

To doprowadziło go do ostateczności. Wpadł do pokoju pani, trzęsąc się cały ze złości. Nie zreflektował go płacz żony, ni córki, krzyczał, biegając po pokoju, jak furyat. Zakazał im raz na zawsze stykania się z »podobnymi ludźmi«, gro-

żąc skandalem. Blada jego twarz przemieniła się powoli w zieloną prawie, zsiniała mu również i kreda warg. Wnet jednakże przyszło osłabienie nerwów, rozkraplając na nosie chłodnawy pot. Trzasnął drzwiami i poszedł do siebie. Tu usiadł ciężko w głębokim fotelu i znieruchomiał jak głaz. Rozprzężone nerwy opadły mu, jak pospuszczane struny, a ciężar zamroczonych myśli przysiadł na mózgu.

Po pokoju począł się czołgać księżyc. Ścielił się bladym blaskiem po dywanach i sprzętach leniwie i ciekawie zarazem — jak i tam, w cichej altanie Ossockiego, podglądając wciśniętą w kąt postać mężczyzny, czerniejącą się w bezruchu; tylko dłoń chwytała od czasu do czasu wiechę brody i zanurzała się w niej nerwowo.

Pod czaszką Piotra wrzał właśnie bój. Chory umysł zradzał najrozmaitsze obrazy, a wszystkie bolesne, których treścią były córki, fikcyjnie przez Dolańskiego zagrożone — i ona Ania, zawsze jeszcze ta Ania z Borków...

Zawieja wspomnień uderzyła weń splątanym huraganem, jak wicher w żaglowy okręt i pchnęła wstecz, w minione lata i dnie szczęśliwe...

Mimo stracony umysł, wspomnienie to stanęło mu w oczach tak jasno, jak pojmował to wówczas, gdy przeżywał.

Wstały w pamięci ciche, wiosenne wieczory, tajemny wyjazd konno, schadzki... Ten stary

park, strumyk w pobliżu — i to zjawisko białe, biegnące ostrożnie i codzień prawie ku niemu...

Te szepty słodkie, miłosne spojrzenia i skargi ciche... Te pocałunki gorące, oploty ciepłych ramion, czasami łzy... Ta miłość przeogromna... wizye wielkie, modły o szczęście — ten kwiat śniony młodym porywem, kryształnem sercem — — — to wszystko... wszystko... I pośród tego oczy kochane, przepastne... nektarem wilgotne usta i serce dobre, bezbrzeżnie dobre...

Teraz przyszło mu to na myśl jako tysiąckrotnie przetrawione wspomnienie i w piersiach poczęło rozniecać gwałtowną burzę.

Jednocześnie zwaliła się na mózg widoma rzeczywistość — zaprzedanie tego anioła i miłość doń jeszcze większa — bo beznadziejna już... miłość wzajemna, a bezowocna...

I przyszły znowu na myśl lata tułaczki, cierpień i zawodów, lata rozpaczy głuchej, nieustającej.

W głąb wspomnień onych wżarła się postać Dolańskiego, niby korzeń wężowy o stutysięcznych nerwach, trzymając się ich mocno, jakby ilastej ziemi.

I ona Ania wydała mu się teraz tak drogą, jak nigdy może dotąd — zgorączkowany umysł przyswoił to sobie żarem, przechodzącym do najwyższego punktu męki i począł szaleć, kusząc do zemsty.

Dolański stanął mu w oczach w całej ohydzie gwałtu, jaki popełnił, biorąc za żonę kobietę, nienawidzącą go od początku — widział w nim sprawcę nieszczęścia jej i swego, sprawcę męki dwojga niewinnych ludzi na całe życie.

Wylęgł się w jego wyobraźni jako zachłanny potwór, odpoczywający z podłem zadowoleniem nasyconej chuci.

Aliści po chwili chytre źrenice tego potwora poczęły biegać niespokojnie, jakby węszyły nową ofiarę. W mackowaniu tem dopatrzył się Piotr nowych żądz — i prawie równocześnie kochane córki wychyliły się z mroku wyobraźni i skrycie zdążający do nich Dolański. Lęk chwycił go nagle za serce bolesnym szponem. W tym samym momencie dostrzegł jeszcze powaloną postać Zygmunta, deptaną skradającym się potworem.

Potężna imaginacya zerwała go z ławki. Dzikie błyski zamigotały mu w oczach, jak prędkie ogniki, a twarz przyoblekła się grozą...

Stał tak chwilę krótką, mocując się wewnętrznie. Szeroka pierś zastygła nieruchomo, jakby skamienieć miała. Wir myśli szalejących rozpierał się pod czaszką i kusił, kusił straszliwie do zemsty. Nie miał mocy oprzeć się temu i nie chciał nawet, bo porwało go właśnie pragnienie odwetu równomiernego męce. Stał się bez czucia, myśli rozprzędły się zgmatwane, jak nrci z kłębka, tylko jedna została nienaruszona — — to zemsta...

Wypadł z altany i całym pędem puścił się ku dworowi. Zerwał kapelusz trzepocącemi dłońmi i rzucił precz od siebie. Włos długi rozwichrzył mu się, jak strzecha, uderzona wichrem. Gnał gościńcem, wpatrzony w stronę dworu, ze strasznem jakiemś postanowieniem.

We wsi było już cicho.

Przestrzeń między szaleńcem a ogromną kępą drzew dworskich zmniejszała się coraz bardziej. Już skręcił na pańską drogę, cienie drzew przyciemniły go nieco. Furya pchała go naprzód, jakby jakieś fatalne narzędzie.

— Dziś twa ruina i śmierć!... — syczał do siebie szaleniec. — Dziś porachunek z tobą złoczyńco nędzny!...

Przedarł się przez żywopłot całą siłą, kalecząc twarz i szaty.

Tu zwolnił biegu — był właśnie koło szeregu gumien.

Stanął przy węgłach i spojrzał dziko wokoło. Nigdzie nie było żywej duszy.

— Ho!... nie po szlachecku to, nie... aleś ty zbójcą był — będę i ja!... Ząb za ząb, złodzieju szczęścia!... — rzucał te słowa chrapliwie, jakby się dusił.

Tuż przy gumnie stała zeszłoroczna sterta słomy.

Piotr dopadł do niej i począł skubać z całej

siły. Wyciągniętą mierzwę nosił pod ścianę i wracał gorączkowo po dalsze naręcza.

Robota szła mu z pośpiechem — coraz wyżej poczęła się wznosić kopa słomy.

Pojmując, że dawka taka wystarczy, klęknął u jej pondóża i podświecił zapałką. Migotliwy płomyk chwycił się suchych źdźbeł, biegając po nich pospiesznie.

Szalenie prędko powiększyły się płomyki, czepiając się chytrze calizny.

Buchnął szeroki płomień...

Na twarz Piotra wylało się okropne zadowolenie, w oczach zaświeciła dzika uciecha.

Delektując się wystrzelonymi jęzorami ognia, cofał się wstecz z szaleńczym uśmiechem.

Stanął opodal w gęstej leszczynie i spojrzał ku pałacowi.

W oknach obydwóch jego skrzydeł było jeszcze światło. Nie odwracał od niego ócz, jakby tego tam wroga wywabić chciał i wskazać mu zaczątek pomsty.

Płomienie chwyciły właśnie strzechę i poczęły ją obejmować, niby żagwiami łopocącemi na wichrze. Z szaloną szybkością płomienie rozlały się po dachu, jakby płonąca rzeka.

Mimo miesięczny blask, czerwona łuna roznieciła się wokół i w niebo wzbił się czarny, skłębiony słup dymu.

Rozkosz podpaleńca nie miała granic.

Nagle na podwórzu dworskiem podniósł się przeraźliwy krzyk. Służba wybiegła z wrzaskiem z izb.

— Gore!... — doleciał głos ze wsi, za chwilę drugi, trzeci i wrzawa zamąciła ciszę nocy.

Wystraszone postacie ludzi zoryentowawszy się po chwili poczęły biedz na ratunek.

— Dwór się pali!... wyłaź, kto żyw!... — krzyczano zewsząd coraz liczniejszym głosem.

Teraz dopiero doleciał krzyk do pałacowych pokoi.

W tej samej chwili wbiegł do pokoju dziedzica fornal.

— Pali się, jaśnie panie!... stodoły płoną!...

Przerażony Dolański zerwał się z fotela i wybiegł na ganek. Olbrzymi stos płomieni oślepił go chwilowo. Zastygł na moment w przerażeniu i bezradności.

Przybiegły Kwieta i matka. Nagły okrzyk wybiegł im z ust, jak nad spostrzeżoną przepaścią.

Wtem ktoś uderzył na gwałt we dzwon kościoła. Rozległ się ponuro potężny, złowrogi ton.

Wrzawa zbudziła już wieś całą.

Wkrótce odezwała się trąbka straży pożarnej miejscowej i zaniedługo wjechano w dworską aleję, spienioną parą koni, wioząc sikawkę.

W ogniu stały już prawie wszystkie stodoły. Okropny żywioł rzucał się wściekle na wszystkie strony, krusząc wszystko na węgiel i popiół.

Przepalone krokwie trzaskały przeraźliwie, wyrzucając w niebo miliony iskier i wiechcie płonące. Z jakąś piekielną lubością miotał się ogień i szarpał cielska swych ofiar.

Gwałtownie powypędzano bydło ze stajen. Ryk wieloraki doleciał z przelicznych gardzieli, mieszając się z wrzaskiem ludzi w jakąś czartowską muzykę.

Lik przybyłych już ludzi pomagał do wypędzania trzód, które nie chciały opuszczać stajen, opierając się uparcie.

W ogromną gromadę kręcącego się bydła wwieziono sikawkę, poczęto przyrządzać ją energicznie i gorączkowo — wreszcie po niedługiej chwili, wpuściwszy do studni wężową ssawkę, trysnął syczący grot wody w piekło płomieni.

Praca ratunkowa objęła setki ludzi i związała w ogromne mrowisko krzyczącego tłumu.

Niewiedzieć kiedy wycięto kawał żywopłotu, by mieć dostęp do niedalekiego stawu. Podwórzowe studnie nie wystarczały.

Do tego straszliwego chaosu dołączyła się cała wrzaskliwa orkiestra wynoszonych kur, gęsi, indyków i wszelakiego drobiu.

Cały ten obraz przybrał grozę rozpuszczonego piekła, o tysiącznych wyciach i nawoływaniach. Nieludzka burza głosów wzmogła się jeszcze bardziej przeciągłem westchnieniem wrzawy, kiedy pierwsze gumno runęło z trzaskiem.

Gorący żar wionął na wszystkich, jak dech wulkanu.

Falą odskoczono wstecz przed zawieją płomieni, głowni i iskier, z wyrazem przestrachu na czerwienią oblanych twarzach.

Z rykiem rozpierzchło się bydło, kilkoro sztuk wpadło wystraszone w ogień. Dym zdusił ryk, ogień powalił zwierzęta i chwycił w śmiertelne objęcia.

Rozbestwiony element wytworzył wiatr i chwytał wokół grzywami płomi.

Pałac dosyć oddalony i kryty blachą był od pożaru bezpieczny. Ale na przyległe do stodół wozownie, a dalej czworaki, ogień począł się powoli wdrapywać, liżąc słomę tu i tam nagle powstającymi jęzorami płomyków.

Przybyłe co tylko z poblizkich wsi straże pożarne wysilały ratunek na miejsca najbardziej zagrożone, rozdzierając dachy budynków, będące w styczności ze stajennemi.

Robiono tu pożarowi zaporę, lejąc strugami wodę, ile starczyło sił.

Począwszy odtąd, aż do stawu, Zygmunt z Gąśliczem utworzyli dwa szpalery ludzi, jednym podawano naczynia z wodą, drugim wracały próżne.

Obaj panowie uwijali się między ludźmi, czyniąc porządek, jak i kierując akcyą.

Dolański nie pozwolił wynosić z pałacu nic,

wierząc, że ogień tu nie dojdzie. Latał wokół jak zwaryowany, nagląc do obrony.

Niespodziewanie powstały wiaterek powiał ku wsi. Tysiące iskier skierowało się w tę stronę, zagrażając chatom.

Po tłumie przeszedł donośniejszy krzyk. Masa ludzi zawróciła pędem do wsi.

Płacząca Kwieta stała przed gankiem przy matce, trzymając się jej lękliwie.

Wśród przebiegających ludzi dostrzegła Zygmunta, jak nawoływał do pośpiechu i jak sam podawał wodę.

Nie spuszczała teraz oka z niego, jak z bohatera, jakim stawał się w jej wyobraźni mimowoli, chociaż działanie jego nie różniło się od innych ratujących.

Na gościńcu stały gromadki widzów, przeważnie z kobiet z obrazami świętych. Jakaś stara, pochylona postać kobieca mozoliła się, dźwigając kamień żarnowy i złożyła go w końcu na ziemi tarczą do ognia.

— Ogień się będzie kręcił w kółko — tłumaczyła zabobonna staruszka stojącej gawiedzi — taką moc taki kamień ma, święta prawda...

Runęła druga stodoła.

Na podwórzu było przestrzeniej, bydło bowiem wypędzono w pole, gdzie wałęsało się, pomrukując niespokojnie.

Niebawem nadjechała straż i z miasteczka.

Ratunek przybrał szybsze tempo. Teraz była już nadzieja uratowania stajen i czworaków.

Z płonącej wozowni wynoszono ile możności pługi i różne narzędzia, z trudem wypchano lokomobilę i młocarnię. Tyle zdołano uratować — żar nie pozwalał już dostąpić.

Wtem wśród gromady ludzi ukazał się Piotr, zanosząc się od szalonego śmiechu. Twarz jego przybrała teraz wyraz spazmatycznej rozkoszy i jakby pewnej ulgi wewnętrznej.

Przechylił w tył okazałą postać i, rozkrzyżowawszy ramionaa, śmiał się, śmiał aż do zachłyśnięcia.

Nagle urwał się śmiech.

— Ha, to nie koniec jeszcze... gdzie teraz on... gdzie?!... — wyła mu krzywda w piersi i pomsta.

Wzrokiem pogromcy rzucił wokół... Od stajen biegł Dolański... Dojrzał go Piotr... Nie odrywając już odeń rzucony harpun źrenic, skoczył ku niemu, jak niedźwiedź.

Ludzie, przerażeni niespodziewanem zjawieniem się waryata, poczęli usuwać się z drogi pospiesznie. Stało się wielkie zamieszanie.

Krzyk Piotra wstrzymał Dolańskiego na miejscu w apoplektycznem oniemieniu.

— Ty złodzieju!... zabójco!... — słowa te wypadły z gardła Piotra, jak gromy — i jednym rzutem chwycił Dolańskiego za szyję, drugą zaś

ręką za tułów. Poderwał z ziemi przerażonego dziedzica i podniósł w górę ponad głowę, jak lekką belkę. Trzymał go tak przez chwilę, jakiej potrzeba do nabrania tchu — i ruszył z nim całą siłą w stronę ognia...

O jakiejkolwiek przeszkodzie nie było mowy, stało się to nagle i niespodzianie.

Oczy wszystkich, zaskoczonych tym wypadkiem, zwróciły się w tą stronę...

Ogromnych żagwi płomieni, ziejących przez otwarte wrotnie stodoły dosięgnął Piotr ze swą ofiarą, broniącą się całą mocą — i wpadł w nie, jakgdyby w otchłań...

Przepadli obaj, przysłonięci ognistą grzywą...

Dym zatkał mu łeb i zwalił z nóg...

— Ma-a-a-sz!... — zdawało się, że doleciał głos z wnętrza, niby śmiertelne westchnienie.

Oniemiały tłum zamilkł na moment w osłupieniu.

Lęk przestrachu wybiegł jak grot z piersi Kwiety i matki.

Ludzie ochłonąwszy poczęli naglić się wzajemnie do ratunku, jednakże wszystkim zabrakło odwagi.

— Gwałtu, dziedzic się spali i organista!... — krzyczano zewsząd.

Ale tam żywioł zatracił już dwa żywoty — — zemście stało się zadość...

I tam zamilkła na zawsze tajemnica podpalenia...

Całą tą scenę prawie wszystkim widomą, trwającą zaledwie parę sekund, dojrzał i Zygmunt i, zoryentowawszy się prędko, co ojciec zamierza uczynić, skoczył, by mu przeszkodzić. Prawie furyat wpadał w płomienie. Wrzasnął okrzyk przestrachu i oczy wszystkich zwróciły się w tą stronę. Dolańską i córkę uderzyło zdrętwienie. Widziały jak Ossocki z ojcem wpadł w ogień i za moment lecącego tam Zygmunta. Tchy uwięzły im w piersiach dławiąco, oczy zaś trzymały ten obraz nieoderwalnie.

Zygmunt dobiegł właśnie do celu. Był już od płonących wrotni o dziesięć kroków, gdy jakiś chłop powstrzymał nagle biegnącego w jego szalonym zamiarze. Obaj mężczyźni poczęli się szamotać, ale Zygmunt silnem pchnieciem odtrącił chłopa od siebie. Postąpił może krok jeden, gdy wtem przepalony zrąb stodoły runął na ziemię, jak roztrzaskujący się granat. Odrzucona ognista belka potrąciła Zygmunta, zwalając go z nóg, jakby podcięciem kosy.

Snopy iskier i kłęby czarnego dymu przysłoniły na chwilkę ten groźny obraz.

Z okrzykiem przerażenia nadbiegła Kwieta, za nią Dolańska i Gąślicz.

— Och, Zygmunt!... Ratujcie ludzie, ratujcie!... — jęczała z płaczem i mimo straszną spie-

kotę, bijącą od ognia, chciała biedz do ukochanego.

Ktoś z ludzi ją pochwycił i zatrzymał na miejscu. Wtem Gąślicz, zakrywszy twarz od żaru połą bluzy, skoczył na ratunek przyjacielowi, który leżał bez ruchu, mając dłoń przywaloną belką. Podbiegło jeszcze kilku chłopów i podźwignęło omdlałego.

— Do pałacu z nim! — krzyknął Gąślicz i tam poczęto go nieść pospiesznie.

— Jezus!... Czy żyw? — zapytała z krzykiem Dolańska, biała jak wapno.

— Żyw, tylko omdlał!... — uspokajał Gąślicz.

— Zygmunt... Zygmunt... — szlochała okropnie Kwieta, słaniając się za niosącemi.

— Do dworu nieście... o Boże, do dworu... — nagliła Dolańska, trzęsąc się cała.

Myśl o straszliwej śmierci męża i pana Piotra zmieczuliła jej ciało, jak wielki mróz.

Odczuła, że to była zemsta, okropna zemsta... Ból trzymał ją za wnętrzności, jak żelaznymi szpony narzędzi katowskich. Nie dawał ulgi tej męce ani na moment, tamując również funkcyę płuc.

Groźa niesłychanego nieszczęścia wtłoczyła się pod pokrywkę mózgu, jak tępy, bronowy gwóźdź. Ten ból począł jej mroczyć zmysły, jednakże opierała się temu wszystką siłą i wolą.

Za dużo było tyle nieszczęścia na jeden dzień, za dużo...

Pożar zaś szalał.

Krokwie i płatwy pękały z przeraźliwym trzaskiem, ziejąc płomieniem i iskrami.

Chwilowo przerwana obrona teraz przybrała znów gorączkowe tempo. Reszta zabudowań zdała się być już ocalona od katastrofy.

Kwieta kazała wnieść Zygmunta do swego pokoju i tak się też stało. Na białej otomanie, okrytej skórą polarnego niedźwiedzia, złożono go ostrożnie. Dolańska przyniosła pospiesznie amoniak z domowej apteki, który przywrócił przytomność omdlałemu.

Gąślicz opatrzył Zygmunta, lecz nie znalazł żadnych uszkodzeń, prócz większego oparzenia lewej dłoni aż po łokieć. Tu wypiekł ranę przygniatający go odłam belki, dym zaś widocznie i żar wtrącił w omdlenie.

Teraz odczuł dotkliwy ból, bo twarz wykrzywił spazmatycznie. To oprzytomniło go zupełnie i usiadł na chwilę. Podniósł oczy na zawodzącą Kwietę i począł ją uspokajać.

Wyszukano bandaże, znalazła się i maść na oparzenie — i za chwilę opatrunek był gotów. Przy tej operacyi, dokonanej przez medyka Gąślicza, Zygmunt okazał się zadziwiająco wytrzymały.

— Władek, a co z ojcem — wyratowano ich? — zapytał, ochłonąwszy nieco z bólu, patrząc nań w dławiącem oczekiwaniu.

Gąśliczowi przebiegł po ciele prąd zimnego dreszczu.

— Nie. Spalili się obaj...

Zygmunt opuścił głowę na piersi.

— Boże!... — westchnął ciężkim opadem płuc i znieruchomiał, jak posąg. Na twarz wybiegł mu posępny cień, jak szare płótno.

Przy oknie ozwał się głośny płacz Dolańskiej.

Czerwona, przerażająca łuna wpadała do pokoju, ukazując opodal szalejące piekło.

Gwałtowna wrzawa nie ustawała, lecz, zdawało się, wzmagała się jeszcze bardziej.

Zygmunt siedział bez drgnienia. Strata ojca i jego czyn okropny ogłuszyły go, jak uderzenie obuchem w czaszkę. Nieszczęście ubezwładniło mu myśli i ścisło serce przemocnie. Brakło mu czucia, bezmocny stał się, jakby wszystkie nerwy z niego wypruło. Wyraz jego twarzy przeraził uspokajającą się Kwietę.

— Zygmunt, tyś przecież żyw... co tobie, powiedz, tyś taki strasznie blady... — zwaliła się na kolana u jego nóg, spoglądając w oczy błagalnie. Zapomniała na chwilę, że tam w płomieniach zginął co dopiero jej ojciec i jego — — całą jej myślą był teraz Zygmunt.

— Jezus, co się tu stało?... — odezwał się na-

gle Zygmunt, jakby się otrząsł z nic nie czującej posągowości. — Powiedzcie, zali ja śnię, czy mnie szaleństwo chwyta, że tam dwie śmierci w ogniu?...

W oczy wpadł mu jakiś niepewny blask, migotliwy i wahający.

— Zygmunt uspokój się — począł mitygować go Gąślicz — stało się nieszczęście, przepadło...

Ale sam nie mógł pomieścić sobie w głowie zaszłego faktu i uporządkować myśli.

— Więc to prawda? O, Boże!... — chwycił się ręką za głowę. — Więc mój ojciec stał się zabójcą w dniu swojej śmierci — on... ten nieszczęśnik święty?... Tatusiu, drogi tatusiu... o, Chryste!... — zakotłował nim ból i wstrząsnął mocnym, głuszonym płaczem.

Nie mógł powstrzymać łez i zgłuszyć w sobie huragannego szlochu — było to ponad siły jego wrażliwej duszy.

Dopiero kojące dłonie Kwiety, zarzucone mu na szyję, ustatkowały go powoli, ale burzy wnętrza nie mogły uciszyć, ani złagodzić jej choć trochę.

Groza jakowaś zawisła w pokoju, przepełnionym łuną pożaru, jak purpurową oponą męki.

Nieszczęście zwaliło się na tych tu ludzi, niby fatalny głaz, oderwany z lecącej planety.

Znikąd nie było ulgi, w każdem miejscu czyhało tępe wejrzenie rozpacznego bólu.

— Zygmunt, — łkała Kwieta — uspokój się, uspokój, drogi, kochany...

Tylko te słowa kobiece, kojarzone rozmiłowanem sercem, miały w sobie jakąś cieplejszą otuchę, jakieś tkliwsze, jaśniejsze życie...

W zaczerwieniałych oczach Dolańskiej stanęła teraz przeraźliwa larwa męża i poczęła wżerać się w nie upiornie... Ale spłoszyła ją wkrótce słoneczna wizya Piotra, objęła znękaną jej postać anielskiem otuleniem, balsam rozlała po zbolałem sercu — — i słowa słodkie rozszepliły się nad jej uszyma, słowa niosące wieczne umiłowanie i ukojenie przeciche...

Wizya ta stała się tak wyraźną, że wychyliła zakryte chusteczką oczy i spojrzała, zali to rzeczywistość, że on tu przyszedł... jego duch...

Ale złudzenie znikło i krwawa łuna oślepiła ją blaskiem purpury.

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

Pożar udało się zlokalizować. Nad ranem ugaszono zupełnie stodołę, w której płomieniach znalazł śmierć dziedzic i organista.

Po odrzuceniu niedopałków drzewa znaleziono dwoje zwęglonych zwłok, leżących na sobie.

Wkoło rozszedł się mdły zapach ciał, mieszając się ze swędem mokrej spalenizny.

Nie zdołanoby rozeznać dwóch wrogów, z których pozostały jeno resztki z niedopalonemi trze-

wiami, gdyby nie sygnet herbowy na piszczeli palca Dolańskiego, który wykazał różnicę...

Na drugi dzień rudy piasek cmentarza pokrył szczątki organisty Ossockiego, kolatora zaś pochowano w rodowej kaplicy.

IV.

Drogą z Olszowca ku stacyi kolejowej szedł Zygmunt. Ubrany był do podróży w szary, sportowy strój, w ręku zaś niósł nie dużą, skórzaną walizę.

Co chwilę oglądał się poza siebie, jakby go ciągła jakowaś siła ku tym kępom drzew, kryjących w sobie rodzinną wieś, matkę i siostry, świeżą mogiłę ojca i oną tragedyę z przed dwu tygodni, która to właśnie wypędzała go gdzieś w świat, po chleb i zapomnienie.

Ale nade wszystko umiłowanie ogromne zwracało mu twarz w oną stronę i niemiłosiernie ciężko rozluźniało każden krok naprzód, kłuło boleśnie każdorazowem oddaleniem — bo szedł z tą myśl zawziętą, że nieprędko powróci do tych stron, co przędzą przemocną wiązały go ze sobą, zdawaćby się mogło, nierozerwalnie.

A jednak żegnał to wszystko i spieszył, aby go snadź nie zawróciła zjawa wyrazistości szalejących wspomnień, co w oczach duszy stanęła mu tęczą przejasną, grającą barwami ostateczne-

go piękna i nęcąca ku sobie tonią szczęścia, rozkoszy i pragnienia...

Szedł pospiesznie, bo czuł, żeby mu brakło mocy oporu, oczy serca przymykał gwałtem i wchłaniał w siebie przemocą myśli inne, myśli przeciwne tej tęczy.

Nie mógł odnaleźć w sobie w zupełności, czemu tak postąpić zamierzył, czemu właściwie opuszcza wieś, czemu ucieka od niej — od tej niewinnej Kwiety...

Miał przecież miłość jej, jakiej pragnął, miał w całej wielkości i również kochał ją równomiernie — czemu odchodził więc od niej, jak zdrajca, bez pożegnania nawet, czemu?

Czuł, że niewłaściwie postąpił, że stał się sprawcą jej męki i rozpaczy, jaka zawyje w niej, gdy go dziś nie zastanie, a przecież kazał jej przyjść przed południem, kazał, choć wiedział, że go nie będzie już...

Myślał, że lżej mu będzie odejść — nie żegnając i nie patrząc na jej łzy, których był pewien.

Myśl odjazdu zrodziła się w nim dopiero wczoraj. Wczoraj spotężniała mu w myśli śmierć ojca do niebywałych granic... Stanął w oczach ten okropny widok, kiedy leci w piekło ognia nieszczęsna, a tak kochana postać, kiedy prze na śmierć z ofiarą swoją, gdy wpada w to zatracenie...

Wszystkim była widoma groza onego czy-

nu — widziała i ona ojca jego zbrodniarzem, kiedy niby fatalna furya z rodzicem jej zginął za kotarą buchających płomi...

Ojciec jego zbrodniarzem... To straszne!

Ojciec ukochanego, zabójcą jej ojca...

Serce rwało mu się w kawałki, jakby hakami targane zawistnemi dłońmi. Nie mógł pomieścić w sobie tego cierpienia, zabrakło miejsca w piersi, nie było mocy by przetrwać.

Wstyd i ból piekły mu wnętrze i popieliły prawie, jak roztopiona masa szkła.

Uciec postanowił, uciec gdzieś na kraj świata, daleko, by, jeśli się uda, przeżyć to, przygasić choćby i nieco uleczyć.

Słaby był jeszcze od potłuczenia — zwlókł się jednakże z łóżka i postanowił wyjazd.

Błagały siostry i matka — nie, uparł się, wiedziały, że na marne wszelkie wysiłki.

— Jadę do stolicy tylko, bo tu mię wstyd... Niech ludzie trochę zapomną — zresztą, najwyższy czas, by się postarać o posądę, tam pójdzie mi to łatwo — powiedział, a rzekł to tak, że mu uwierzyły. Wprawdzie taki miał zamiar.

Bryczki do stacyi nie chciał najmować, wolał iść piechotą. Najniezbędniejsze rzeczy spakował do walizy — i poszedł. Siostry chciały go odprowadzić — i na to się nie zgodził. Zośce tylko powiedział, że gdy przyjdzie Kwieta, niech jej oznajmi, że wyjechał telegraficznie zawezwany

na posadę, że adres przyśle wkrótce, niech ją przeprosi, iż nie pożegnał się z nią, ale że nie mógł z różnych względów.

Mówiąc te słowa miał przecież inne myśli: Kwiecie chciał usunąć się z drogi, bo nie mógł ułożyć w zawichrzonym mózgu, by mogli znać się dalej, po tem, co zaszło.

Wstyd go palił i duma kazała iść precz.

— Okaż, że syn zabójcy nie chce być przez córkę ofiary kochany, bo wina z ojca schodzi na syna... Czem byłby twój pocałunek?... — zawyła wprost ona duma i jakąś dziwną zawziętość rozlała w duszy.

A jednak mimo wszystko żal okrutny brał go za trzewia, jak za zwieszone sznury, i targał niemi, niby w siecie schwytany zwierz, pragnąc całem jestestwem ulgi i swobody.

Bo spadło to nieszczęście na niego wtedy, kiedy miłość jego doszła szczytu upragnień — — i jednem cięciem miecza rozpłatało wiosną wyczarowany kwiat...

Szedł, uginając się pod ciężarem tysiąca przelatujących myśli, szedł, jak skazaniec, wpatrzony duszą w jedną larwę — śmierć, tak on w tą rozłąkę i opuszczenie.

Zostawił za sobą co umiłował bezgranicznie, nie wiedząc, jaki się zjawi los...

I marło w nim wszystko pod naporem gwał-

townego bólu, z którego poczęła wyradzać ona, niby twór jakiś olbrzymi, ona Kwieta.

— Dziewczę... dziewczę... — skomliło mu coś w piersiach, jakby istota jakaś sponiewierana i skarżąca się bezmocnie, ubezwładniona bólem.

Uczuł nagle wielkie zmęczenie ręki, dźwigającej walizkę, której przełożyć nie mógł, bo druga sparzona ręka była w bandażu.

Usiadł więc na wałku fosy, w cieniu rozłożystego kasztana, aby odpocząć chwilę. Miał czas, do stacyi bowiem było zaledwie do pięciu kilometrów, a pociąg odchodził dopiero w południe.

Wybrał się z domu wczas dlatego tylko, aby uniknąć spotkania z Kwietą i pożegnania, którego się lękał prawie, jak czegoś niezmiernie przykrego.

Była godzina w pół do dziesiątej, lecz słońce poczęło powoli dopiekać.

Zygmunt usiadłszy, zapalił papierosa i spojrzał w stronę opuszczonej wsi.

Po wierzchołkach drzew poznawał, gdzie co było... ot, tam jego dom, nieco dalej kościół, a tu na lewo, dwór... Poznał nieomylnie po opalonych gałęziach drzew, co jak ogromne, brzozowe miotły sterczały ku niebu.

— Tak, tam dwór... — myślał, nie odrywając spojrzenia od tego miejsca.

Jakby potężnemi kleszczami począł ściskać mu piersi ból, prąc gwałtem łzy pod powieki. Oga-

niał im się ile siły mógł zebrać w sobie, lecz stały się mocniejsze — zwyciężyły go. Dwie krople zaświeciły w kątach ócz, zwilżyły źrenice i zaświeciły na rąbkach rzęs.

Poznał teraz w całym ogromie co opuszcza, że jest to decyzya, będąca może zatratą jego życia, a to, że mógł przecież w każdej chwili wrócić, wtrąciło go w stan szalonego odmętu myśli i walki wewnętrznej.

Ale przytłumił to w sobie niedługo, oparł się nawale tej wrogiej mocy — i wszystko postanowił wykonać, jak zamierzył.

Ale wzroku nie odrywał od tej wiechy opalonych drzew, słodyczą jakąś było mu to patrzenie.

Co przeżył w stosunkowo niedługim czasie, stanęło mu obecnie po raz tysiączny może, jak ołtarz jakiś przecudny, przybrany w złoto i kwiaty, a wśród girlandy świeżych róż widniała niebiańska postać rozkosznego dziewczęcia — — to ona, Kwieta...

— I czemu opuszczasz ją — zawyło mu teraz w piersiach szalonym krzykiem — gdyście niewinni obydwoje, czemu?... Czemuś szukał miłości jej i pragnął prawie obłędnie, a teraz rzucasz to bóstwo?... Pocoś przysięgał u jej stóp kochanie wieczne?... Czemuś do ust jej tęsknił całemi doby, czemuś ich łaknął, jak miłosierdzia nieszczęśnik?...

Pocoś miłość rozkrzewił w sercu jej młodem, niedoświadczonem, kacie i zdrajco?...

Czemuś szeptał bezpamiętliwie czarowne słowa przy jej różanej twarzyczce, nieświadomej kłamstwa i zawodu, ani zła, ni najmniejszej przewiny?...

Czemu zawodzisz dziś to kwiecie młode — szaleńcze, czemu nie pomnisz?...

Zdawało się, że moc ta rozsadzi mu piersi, ale oto w tej chwili spostrzegł u zakrętu wybiegającą sylwetkę konia, a na nim jeźdźca, czy też amazonkę; w pierwszym momencie nie mógł tego rozeznać.

Ból rozwiał się nagle w piersiach Zygmunta, natomiast myśl jego skierowała się w stronę tententu. Po fruwającej w powietrzu sukni, niby oderwane skrzydło wielkiego ptaka, poznał, że to kobieta pędzi konno.

Obraz ten, mieniący się w siejbie słońca, wyglądał jakby zjawisko fantastyczne.

Skry szły od podków końskich i kamieni gościńca, ziemia zaś drgała.

Mierzyn gnał, niby wicher, z rozwianą grzywą, podobny do furyi jakiejś, pędzącej na oślep w przepaść.

Przepaść między Zygmuntem, a amazonką zmniejszała się prawie lotem ptaka.

Kwieta była już tuż... tuż... Musnął ją cień kasztana prędko, jak wiew... dostrzegła niewyraźnie

w szalonym biegu jakąś postać pod drzewem... myśl jej przemknęła, jakby lotne złudzenie, że to Zygmunt... Tak jej coś szepło i, zda się, powstrzymać chciała... przechyliła się na siodle, zebrała cugle i poczęła strzydz nimi ku sobie, stając w strzemionie. Arab, wrażliwy w pysku, sfolgował w biegu, dając się osaczyć w dwu skokach.

Zygmunt ją poznał... Lęk nagły zdławił mu oddech.

Kwieta obejrzała się poza siebie i zeskoczyła na ziemię. Nogi jej drżały, fala krwi napłynęła do twarzy i zamgliła wzrok. Puściła rzemienie uzdy i pędem zwróciła się ku Zygmuntowi.

— Zygmunt!... Zygmunt!... — krzyczała prawie, dobiegając doń z wyciągniętemi dłońmi.

Ramiona rzuciła mu na szyję, zwisając na nim bezwładnie.

— Zygmunt... — płacz huraganowy wraz ze zmęczeniem urwał jej dalsze słowa i zatargał ciałem ogromnie, nielitośnie.

Usunęła się do jego nóg, jakby jej dłonie nagle ktoś obciął, lecz Zygmunt, siadając na ziemi, chwycił ją w ręce i, przygarnąwszy do siebie, złożył na swych kolanach, jak zranionego ptaka, co drga jeszcze ostatkiem życia, siląc się na zerwanie skrzydeł do lotu.

Zsunął jej na odkrytą w upadku nogę fałd sukni, nie dostrzegając nawet tego cudnego owalu, otoczonego misterną przędzą pończoszki, jak

i rąbka koronek halki, co wychyliły się niedyskretnie.

Twarzyczkę szlochającą przytulił do piersi i począł ciszyć, całować bez upamiętania rozognione liczko i czerwone ze zmęczenia, niby zorza różana.

— Kochany... drogi... nie jedź... nie... — bełkotała urywanie, cisnąc się ciałem do niego.

A on ją ciszył, ciszył, spijając łzy perliste i gorące, spijał niby krople nektaru.

— Nie płacz, Kwieteczko, ty ukochanie moje wielkie... ty słodka... dobra... złocista...

Bezradność czepiła się go bezmocna i wytrąciła z równowagi wszystkie myśli.

— Zygmunt — odezwała się trochę swobodniej — czemu ty uciekasz ode mnie, czemu mię rzucasz, kochany?... I cóż zawiniłam ci, powiedz, niechajże wiem przez co opuszczasz mię, powiedz, Zygmunt... Nie spodziewałam się niczego, ale byłam jakaś niespokojna, więc poszłam wcześniej do was, a tu mi Zosia mówi z płaczem, żeś ty co tylko odjechał... Wracam do domu co sił, aby wziąć konia i gonić cię... ach, Zygmunt!... — ponowne łkanie odebrało jej dalsze słowa i trząść znów płaczem poczęło przez chwilę.

Ale uciszył ją, wyprosił nawałą słodkich słów uspokojenie, że spojrzała nań mokremi oczętami z takim ogromnym wyrzutem i nietajoną pokorą, tyle malowało się w nich poddańczych próśb, iż

serce Zygmunta stopniało w jednej chwili tego spojrzenia, jak gałka śniegu, rzucona w roztopione żelazo.

— Moja... moja!... — zamknął jej usta pocałunkiem.

— Gdzież ty chcesz jechać, powiedz? — powtórzyła pytanie, wyswobodziwszy się z ssawki jego warg. — Czy masz t[illegible] litość, sumienie mnie zostawić i uciec, nie pożegnawszy nawet?...

[illegible]su jej chwytała się już rzewność, więc Zygmunt, nie chcąc dopuścić do dalszego płaczu, przycisnął ją goręcej ku sobie, szepcąc:

— Nie... nie pojadę już... tylko ty nie płacz, ty nie płacz... — kłamał, nie mogąc znieść widoku jej łez i wstrząsu ciała.

Jakoż uspokoiła się niedługo zupełnie, otarła chusteczką załzawione policzki i nie spuszczała zeń oczu ani na chwilę, jakby jego myśli pragnęła wyrwać z pod czaszki i wyczytać je do ostatniego słowa.

— Czemuś ty nie powiedział mi nic, że chcesz wyjechać, Zygmunt?

— Kwieteczko, nie wiedziałem... Dostałem telegram niespodziewanie dziś rano, muszę...

— Jakto, więc pojedziesz? — przerwała nagle z wyrazem lęku.

— Widzisz, chciałem na posadę, przecież nie mogę siedzieć tak bezczynnie...

— A więc chcesz jechać? — skryła twarz w dłonie.

Zygmunt ucałował ją w czoło.

— Przecież ja tu przyjadę... pisał będę do ciebie, Kwieteczko...

— Nie, ja nie chcę, nie chcę! Ty nie pojedziesz nigdzie, musisz pozostać tu!... — przy słowach tych otworzyła powieki szerzej, mówiąc dalej z wyrzutem: — Po co chcesz mię okłamać? Ja wiem czemu chcesz jechać... To nie telegram, nie, Zygmunt... Czuję, że ty chcesz jechać sam, wyczuwam nawet powody...

Zygmunt patrzył na nią zdziwiony.

— Więc powiedz...

— Ciebie wygania stąd czyn twego nieszczęśliwego ojca... nie przecz mi... ja wiem, że to jest tak... — wymówiła te słowa szybko, jakby się pozbyć ich chciała jak najprędzej.

Zygmunt nie miał odwagi przeczyć, tylko głowę pochylił na ramię Kwiety i milczał.

— Jezus! i cóżeś ty przez to zawinił, Zygmunt? Wiesz co, tak się musiało stać, takie przeznaczenie chyba już było... Ty znasz tą sprawę od początku... Bóg ją widocznie tak chciał rozwiązać i zakończyć... Twój ojciec był taki nieszczęśliwy... — dodała po małej przerwie — a teraz już mu lekko... Jeźli Bóg tak to rozsądził, to czemu cierpisz ty?... Ja wiem, ojca ci żal... I ja prze-

cież straciłam ojca... Boli to bardzo, niemiłosiernie boli, lecz trudno...

— Dziewczę, nie wspominaj mi, nie mów!... — przerwał jej Zygmunt.

Kwieta zamilkła. Mimo, że ojciec jej stał się tyranem w ostatnich czasach, ale żałowała go bardzo, opłakując często.

Czasem zdawało jej się, że brak ojca czyni ją wolniejszą, że miłość jej do Zygmunta nie będzie krępowaną — ale odganiała gwałtem podobne myśli, bo znów inna poczęła ją prześladować, że to grzech i objaw wyrodnej niewdzięczności, bo on przecież był ojcem, jej ojcem...

Myśli takie i przypuszczenia napadały ją kilkakrotnie na dzień, kończąc się zwykle łzami. Wtedy tem większa budziła się w niej miłość córki, dawniejsza dobroć ojca przychodziła na pamięć jakby ze snu ocknęło się przywiązanie — i żal chwytał ją za serduszko wielki, bolesny.

— Zygmunt, nie rozpaczaj, jeźli Bóg tak chciał, niech im da wieczną szczęśliwość...

Łzy zamigotały jej w źrenicach. Słowa te wlały w Zygmunta jakąś dziwną ulgę i wdzięczność dla niej za to.

Widział w niej anioła, przed którym pierzcha wszelki ból, pod którego dotknięciem taje żal i cichnie rozpacz serca.

— Balsamie mój najdroższy... — przycisnął rączkę jej do ust i całował aksamit ciała długo,

to każdy paluszek z osobna, jakby obcałowywał kwietne płatki.

Zawstydziło go to młode dziewczę, wychuchane w pałacu, bez hartu życia, nieświadome wszelkich jego nieszczęść i męki, zawstydziło nie przez rezygnacyę swą, ale filozofią tego jednego zdania: »boli to bardzo, niemiłosiernie boli, lecz trudno«...

— Zygmunt powiedz, że nie pojedziesz, powiedz, inaczej... jabym tu... no, ja nie wiem!... — lęk przed rozłąką z nim wypełnił słowa te tonem tak bolesnym, że przeraził Zygmunta.

Dwie mocne myśli uderzyły teraz weń, jak dwa groty: jechać, czy nie!

Milczał niezdecydowany, bo postanowienie pchało go do wyjazdu, a Kwieta zaś, ten kwiat nektarny, przykuwała tu całą przemocą umiłowania.

Nie chciał okazać się słabym — i wrócić, lecz również brakło mu siły — zostania.

Dusił tę walkę w sobie męczeńsko, aż do zadławień, opierając się wszystkim zasobem sił urokowi codziennych, wieczornych spotkań z tą przerozkoszną dziewczyną.

Nie długo jednak walczył ze sobą, przez krótką chwilę tylko. Bo patrzyły nań rozmiłowane ognie przepastnych oczu, patrzyły z taką fascynującą mocą błagania i miłości — że wola jego poczęła

słabnąć pod wpływem tego spojrzenia — — i ustąpiła.

Niewysłowiony czar źrenic, otulony welonem przywiązania, jak i miłości bezkresnej, ugodził weń decydującą strzałą — i zwyciężył. Wszystkiem bowiem była mu ta rusałka świeżuchna, ta Kwieta.

— Mundeczku drogi, powiedz-że... — oplotła go słodkim uściskiem ramion, wargi różowe rozchyliła do pocałunku, tuląc się doń gronami piersi niespokojnie i mocno.

— Zostanę! — wyrzekł cicho i zlali się oplotem rąk drżących i ust kielichem pragnącym...

Spieniony arab stał chwilę w miejscu, później zbliżył się ku swej pani i, grzebiąc nogą, począł prychać, jakby chciał dać do poznania, że siodło piecze mu spoconą skórę, prosząc w ten sposób o popuszczenie popręg.

Kwieta zauważyła niemą prośbę i, uwolniwszy się z uścisku Zygmunta, podeszła doń, mówiąc pieszczotliwie:

— Kochana Ada zmęczyła się... biedaczko ty moja kochana... Zygmunt, pomóż mi zwolnić rzemienie, tak silnie przyciągnięte, bądź tak grzeczny...

Zygmunt stał już przy niej i zdrową ręką wypełnił prośbę w okamgnieniu.

— Jakiś ty silny, Zygmunt... Naprawdę, silny mężczyzna imponuje...

Wiedziała, że jej zaprzeczy, choć rzeczywiście odznaczał się niezwykłą siłą, więc zapytała natychmiast: — Goi ci się ręka, Mundeczku, co?

— Owszem, goi, tylko bardzo powoli z powodu większego przypalenia ciała.

— Biednyś ty... Ból ci zapewne musi bardzo dokuczać?

— Ot, jak czasem; przez pomyłkę chwycę coś w chorą rękę — to zaboli.

Współczucie zarysowało się na twarzy Kwiety i lekkim cieniem siadło na ustach i oczach.

Spłoszyła to jednakże myśl nowa. Nagle te dobre oczy zamigotały radością i szczęściem niekłamanem.

— Więc ty zostaniesz, Mundeczku złoty, nie pojedziesz — och, jabym cię nie puściła!... — przytuliła się znów do niego słodko, jak sama rozkosz.

— Nie... nie...

Włosy pogładził jej dłonią i ucałował. Postanowił pozostać, odkładając w duszy wyjazd na czas późniejszy. Obecnie jednak nie wspomniał o tem — myślał przygotować ją stopniowo i wmówić w nią, że wyjazd ten jest konieczny dla ich wspólnego dobra, pominąwszy inne, także ważne kwestye.

Dziś nie chciał jej już zasmucać, sam czując się zadowolonym, że spędzą jeszcze razem czas jakiś.

Ale przyszłość, tycząca jego i jej, wydała mu się teraz jakąś zamgloną i niewyraźną. Wypadki ostatnich dni uczyniły mu chaos w głowie i osłabiły pewność, jaką posiadał pierwej.

Patrząc jednakże na nią, odzyskiwał dawną równowagę i moc odczuwał niepokonaną, wierząc niezbicie, że stać się musi po jego myśli ten plan, jaki zakreśliła ich miłość.

Z myślą tą zżył się, jak z sobą, ogarnęła go jednem, jedynem pragnieniem, aby ta Kwieta była jego.

Majątek jej był dla niego rzeczą tak marną, że nie brał go w rachubę — dziadom niech go rozdadzą — myślał, ale niech ona będzie moją...

Miłość ta była u niego tak wielka, że doprowadzała go prawie do szaleństwa. Panował jednak nad sobą, dusił różnorakie zamysły całą potęgą woli, które bywały nieraz wprost dzikie w swej żywiołowej fantazyi, prąc do utraty trzeźwej pamięci — — ale zniewalał je i gasił, zlewał strumieniem rozsądku, usiłując zataić je nawet przed swoją duszą i równoważnym rozumem.

Kochał, zdawało się, nie jak człowiek, ale nadludzki mocarz.

Zwierzeń swych w zupełności nie udzielał nikomu, nawet Gąśliczowi, będącemu jego zaufanym przyjacielem, sam królem był tej tajemnicy, Kwiecie tylko odsłonił rąbek świątyni onej, wskazał jego gorejącą pochodnię, i jej matce, ale re-

sztę płonącego ołtarza zakrył kotarą milczenia — i kochał, kochał... Dla świata przywdziewał taką przeciętną, spowszedniałą maskę — i milczał w sobie.

Ton kościelnego zegara doszedł z poblizkiej wsi niewyraźnym tonem, oznajmiając nie wiedzieć którą godzinę. Jednakże słońce, ten nieomylny zegar przyrody, wskazywało jedenastą.

Zygmunt u wchodu do wsi żegnał się z Kwietą.

V.

Wieczorem tego dnia zaproszono Ossockiego do dworu. Nie miał wprawdzie wyraźnej chęci pokazywać się w pałacu, choćby ze względu na ludzi, a szczególnie na służbę dworską, lecz nie chcąc robić przykrości pani Dolańskiej, poszedł.

Przechodząc koło oparzeliska, zaleciał go niemiły swąd spalenizny, a kupy zwęglonych belek, porozmiatane w dzikim nieładzie, gołe szkielety sieczkarń i różnych narzędzi gospodarskich, cały ten obraz zniszczenia, zarzucony wszelakimi gratami, splamiony ohydnie kałużami brudnej wody — wywarł na nim przykre wrażenie, które zwiększyło się tembardziej, gdy spojrzał w miejsce, gdzie zginął ojciec.

Nie uczyniono tu dotychczas żadnego porządku, wszystko zostało tak, jak było na drugi dzień po pożarze, tylko nie zupełnie spalone kawalce ścian złożono w nieforemne sągi, dla łatwiejszego oszacowania komisyi asekuracyjnej, która przybyła tu onegdaj dla załatwienia właściwych formalności.

O sprawcy pożaru było głucho, bo nikt nie znał przyczyny ognia.

Pani Dolańska przyjęła Zygmunta serdecznie, ale smutek jakiś ogromny wiał od niej, jak od osoby co dużo przeszła i przebolała w życiu.

Kwiety w pokoju nie było.

— Pan chciał wyjechać, słyszałam, prawda, panie Zygmuncie? — zapytała po krótkiej chwili wstępnej rozmowy.

Pytanie to podziałało na Ossockiego nie bardzo mile.

— Tak, chciałem się zgubić stąd — mówił otwarcie — bo nie mogę tu być!... — głos drżał mu nieco i płynął z niego ból, gwałtem wstrzymywany w piersiach. Przetarł dłonią czoło, które zapłonił jakby rumieniec wstydu.

— Ach!... — wybiegło mu z ust westchnienie, a raczej sykiem wypadło. Szał żalu wrócił doń znowu.

— Panie Zygmuncie — odezwała się prędko Dolańska — bądź pan spokojny, mężny. Ja kobieta, a muszę znieść, pan, jako mężczyzna, powinien mieć więcej hartu, więcej odpornych sił. Panie, przeznaczeniu stało się zadość... Trudno, to się już nie odstanie... Bądźmy rozsądni i nie rozpaczajmy jak dzieci... przed nami jeszcze życie, nam trzeba żyć...

W słowach tych drgało wielkie pogodzenie się

z losem i jakby jakaś ufność. — Co mam uczynić ja, którą to fatum smaga od pierwszych wiośnianych chwil, aż dotąd?...

Słowa te wlały nagle w Zygmunta balsamną ulgę, bo poznał z nich okropną czeluść męki i zawodu, wyczuł tragedyę tej oto kobiety, co wypełniła jej życie po brzegi kruży — — i ból jego się skurczył, zmalał, jak pod dotknięciem błogosławiącej mocy, zelżał cudownie.

— Ale nie mówmy o tem... Poco się krwawić samowolnie zbudzanym obrazem nieszczęść?... Życie jest walką i cierpieniem, chociaż... chociaż bywa i szczęście...

Wybladła twarz Dolańskiej przybrała na chwilę wyraz jaśniejszy, jakby opromieniło ją wspomnienie dawne, ubiegłe, lecz zachowane w tajemniczej niszy serca, jak wykradziony talizman odrobiny szczęścia...

Trwało to jednak moment, bo kir wielkiego smutku wziął ją z powrotem w swoją obrożę.

Zygmunt milczał, utkwiwszy nieruchomy wzrok w jakiś punkt stołu.

— Źle, że pan chciał odjechać, — zwróciła się doń po małej przerwie — ale kiedy pan został, czy odłożył wyjazd, dobrze, wdzięczna jestem panu. Chcę z panem mówić wiele, bardzo wiele. Niech pana nie dziwi me postanowienie, ale tak stać się musi. Nie mam na świecie nikogo już, nikogo, prócz córki... Słuchaj pan, wszystko co w du-

szy mej teraz żyje, powiem panu. Zdradzę nawet tajemnicę swego serca, chociaż nie powinnam jej może budzić...

Opuściła głowę na piersi, ale podniosła ją zaraz.

Zygmunta przeszedł jakiś niespokojny lęk.

— Ja kochałam pańskiego ojca... Była to miłość nasza pierwsza — i ostatnia... ostatnia... Poznaliśmy się w Borkach... u nas... i tam pokochali... Ciężko mi, nie powiem więcej... Dość, że mnie gwałtem dano za Dolańskiego... Wszyscy zgłuszyli mię, zgwałcili, nie wiem jak się to stało, czy woli mi zabrakło, czym była bez czucia i myśli, odrętwiała, stało się to dla mnie niepojęte do dziś, żem została żoną człowieka, który był mi nieszczęściem... Zabiło we mnie duszę, strzaskano wolę, ale serca nie naruszono, och, nie mogli już dotknąć i sprofanować świętości tej, jaka płonęła ogromem ukochania Piotra... pańskiego ojca... Miłość ta pozostała niezmienna do dziś — i pójdzie ze mną do grobu... — urwała, aby zaczerpnąć tchu. — Co się stało z nieszczęśliwym pańskim ojcem po tym haniebnym gwałcie wiesz może pan, może ci ojciec kiedy co wspominał...? — podniosła z zapytaniem nań oczy.

Zygmunt zawahał się na chwilę.

— Tak, wiem wszystko... Ojciec w czasie choroby zwierzył mi się zupełnie...

Słowa te nie zdziwiły jej wcale.

— To lepiej... lepiej... Oszczędzę słów, co są mi męką. Tak, więc wiesz pan... Widzisz, tak szłam przez życie, tak się czołgałam w bólu... Narzucony mi człowiek był dla mnie zawsze czemś strasznem, obrzydłem — och, nie do wypowiedzenia! Ale zaprzysięgłam się, że zniosę — i miałam siłę znieść. Później, gdy miałam córkę, było mi lżej, chociaż ból został. I tak płynęły lata... straszliwie długie, zabójcze... Mimo, że człowiek ten był dla mnie bardzo, bardzo dobry, ale była to dobroć płynąca z egoizmu, wstrętna dla mnie, cyniczna... On czuł to, widział i płakał często. To on gwałt mścił się, mścił!... Żyłam jako więzień zawarty w lochu, patrząc się w tęczę wspomnień — o, nie tęczę — lecz larwę! I człowiek ten pozostał mi obcy, znienawidzony — do kiedyś jeszcze... Dziś mu przebaczam... i przebaczam wszystkim, co wówczas zabili mi duszę — i Bóg niech im odpuści... Było mi danem tak żyć — — przeżyję...

Głos jej się urwał, zadławił. Łzy potoczyły się jej po policzkach i spadły na czarną suknię.

Milczenie ciężkie i głuche zawisło w pokoju i gniotło.

Ossocki nie śmiał je przerwać, choć napadła go myśl, by runąć do stóp tej kobiecie, tej męczennicy i całować je jak świętość. Myśl tę spło-

szył głos Dolańskiej. Był teraz jakiś bezdźwięczny, suchy.

— Nie potrzebnie może mówię o tem panu, ale zwierzenia bywają ulgą. Teraz panie Ossocki rzecz druga. Czego nie mógł rozwiązać świat, rozwiązał sam Bóg. Może On nawet spuścił ten ogień, lub stał się z Jego woli — któż to odgadnie?...

— Panie, mam teraz takie postanowienie: Sprzedaję cały majątek. W tej sprawie pisałam już do stryjecznego brata nieboszczyka męża, on człek majętny, może kupić. Niech to zostanie w ich rodzinie. Jakkolwiek nie wolno mi dysponować majątkiem męża, jak i Kwiecie z powodu niepełnoletności, chociaż to jej własność. Jej sąd wyznaczy opiekuna do pełnych lat, lub chwili, kiedyby wyszła zamąż. Sprzedaż wcześniej nie będzie mogła nastąpić. Zatem zrobi się tak: posag swój, jaki wniosłam, równe pięćset tysięcy koron, ja pobiorę. Ulokowane są na moje imię w kasach. O więcej mi się nie rozchodzi, więcej nic nie chcę. Nie chcę ani grosza z tego co było jego. Gdy Kwieta będzie mogła majątkiem rozporządzać — niech go przeznaczy na jakikolwiek zechce cel. Ja wyposażę ją swoim kapitałem. W Olszowcu będziemy już nie długo. Właśnie pisałam i o tem, a jeźli brat stryjeczny męża się zgodzi na kupno w czasie kiedy to będzie możliwe, więc niech już teraz weźmie dobra w administracyę, bo ja się tem zajmować nie chcę, muszę z córką stąd wyjechać,

opuścić ten dom, co tyle lat służył mi za więzienie, ja tu nie mogę być, och, nie!... — wyrzuciła te słowa z niej nieugięta wola i postanowienie. — Co pan na to, panie Ossocki?

Zygmunt, słuchając cały czas w skupieniu, to lękał się o Kwietę, to uspokajał. Tysiączne myśli siadły mu na mózgu gniotącym ciężarem. Słysząc to zapytanie, spojrzał na mówiącą całą siłą spojrzenia.

— Jak więc pan myśli, czy dobrze, czy nie, proszę powiedzieć?

— Boże! cóż znaczy moje słowo?... Ja lękam się wprost coś rzec... To jest sprawa, gdzie moje zdanie nie znaczy nic — i nie powinno.

Kłopot i bezradność wybiły mu się na twarzy.

— Zygmunt — odezwała się Dolańska po imieniu — wszak kochasz Kwietę... pragniesz jej dobra?... Radź więc, dziś nie mamy nikogo, prócz ciebie!

Zygmnutowi pociemniało w oczach. Dostrzegł chaosem myśli, że tu rozchodzi się o los Kwiety, że tu rozchodzi się o coś, jakby kajdany narzucone, które pragnie się zrzucić, wyzbyć się piętna ich śladu, zerwać z przeszłością wszystkie nici i starać się zapomnieć, wyrzucić z duszy i serca, odegnać precz, daleko, by nie wróciła już nigdy, by zgasła bezpowrotnie, by zmarła w zatraceniu...

Dostrzegł, że ona Kwieta staje się dziś pra-

wie już jego — szał jakiś wewnętrzny rozlał mu się gorącem i w ten żar chwycił serce.

Szczęście jego dosięgło obecnie wyżyn. Runął na kolana z tą zawieją wewnętrznych mocy do nóg Dolańskiej i porwał ją za dłonie. Nie wypowiedział ani słowa, tylko począł je tulić do ust z całej siły i całował nieupamiętanie w największej podzięce, w najwyższej wdzięczności serca.

Nieszczęśliwa niewiasta przyłożyła usta do jego głowy i wycisła na niej serdeczny pocałunek. Promyk szczęścia roztlił się w jej przebolałych piersiach, jako ogienek, i zamigotał w załzawionych źrenicach.

Czuła teraz, że tyle tej szczęśliwości wystarczy jej zupełnie.

— Wstań, Zygmunt... — wyszeptały drżące jej wargi i ujęła go za ramię.

— Świętaś jest, pani, jak anioł dobrą i jak Bóg kochająca... — mówił te słowa urywanie, całą głębokością wnętrza. Powstając, chwycił jeszcze jej wychudłą rękę i przylgnął doń ustami z synowskiem jakby oddaniem, z miłością.

— Słuchaj, uczynię więc jak ci rzekłam, bo czyż wypada mi inaczej?

— Nie! Niech majątek tego człowieka, nie żyjącego już, będzie nienaruszony... Niech to więzienie stanie się przybytkiem osłody ludzkiej, przytułkiem tych, którym los skąpi, którym to życie macochą...

Blask bił mu z ócz, jak fosfor, i okrył twarz jakąś marmurową posągowością.

Dolańska powstała z miejsca i podeszła ku niemu.

— A wam niechaj Bóg błogosławi, boście z męki wyrośli... Bądźcie szczęściem dla siebie i drugich...

Położyła mu dłoń na głowie, jako znak błogosławieństwa.

Zygmuntowi brakło słów, nie wiedział jak ma dziękować. Każdy nerw drżał w nim ze szczęścia, jak poruszane struny, zlewając się w jedną niewysłowioną błogość.

Dolańska wróciła na dawne miejsce.

— Słuchaj, Zygmunt, jabym tak chciała: W najbliższym czasie, po załatwieniu jeszcze kilku pośmiertnych spraw, ja biorę pieniądze i wręczam je tobie. Zostawiam ci zupełn pełnomocnictwo i wolną rękę. Uczyń tak: kup nie duży majątek, fachowym jesteś, i gospodarz. My tu jeszcze zostaniemy może miesiąc, dwa, może trzy, dłużej chyba nie będziem. Jedź do stolicy w który dzień, rozglądnij się za tem — najprędzej dowiesz się w banku rolniczym, nie traćmy czasu. Mnie tu każdy dzień dusi, przeraża...

Przez okno wpadło do pokoju wieczorowe słońce. Purpurową strugą legło na strzyżonych dywanach, zachybotało w powietrzu tęczową symfonią — i poczęło się ścielić migotliwie po ra-

mach bogatych sprzętów, tarzać rozkosznie, wesoło.

Otoczyło aureolą postacie dwojga ludzi stwarzających jakoweś plany, obejmowało im nogi, spinało się dobrotliwie na piersi odżyte ulgą — i oczy, z których patrzyło zadowolenie.

Kończył się wolno upalny dzień w coraz to większej leniwości. Zdawało się, że miły chłodzik wieczoru orzeźwiał go wachlarzem nie wiedzieć skąd wiejącego wietrzyku, że go cucił odświeżonym aromatem kwiatów i zbóż dojrzałych, ale widocznie i woń ona, rozpylona wszędzie bogato, upajała go odurzająco, sennie, bo utulać się począł dziecinnie, w jakiejś niewinnej pieszczocie i spokojności.

W progu pokoju stanęła Kwieta. Ukazała się niespodziewanie, jak senna złuda, w całej krasie dziewczęcej posta[illegible],

Stała tak ch[illegible] niby widzenie fantastyczne, urocza w tej niezdecydowanej pozie.

Z pod ciemnych rzęs pobiegło do Zygmunta dwoje aksamitno-lazurowych źrenic, objęły go tonią czarodziejskiego wejrzenia, przykuły do siebie hypnotyczną siłą, zdając się szeptać: Ty mój, kochany, jedyny...

Była to chwila na pozór krótka, ale mieściła w sobie czas taki, jakiego potrzeba do zwierzeń licznych, a wielkich, do ostatecznych wynurzeń,

do ostatniego słowa, do znużonego uścisku i umęczenia ust od pocałunków...

Była chwila, jakiej potrzeba sercu do wysłuchania pieśni miłosnej, do upojenia się nią i przylgnięcia do niej całą duszą, całem jestestwem...

Zjawiła się jak anioł dobrotliwy, którego przeznaczeniem jest koić i szczęście siać za czas udręki, utulać ból wieńcem słodkiego wypełnienia — i stać się rozwiązaniem tragicznych pęt, uleczyć rany i zapomnienie zesłać przeciche, upragnione...

Taką ją teraz pojął Zygmunt, na taką podniósł powieki — i spojrzał...

Nie spłoszył tej chwili nikt, milczenie ujęło ich na moment w ciche objęcia i kwiatem róży przysłoniło usta.

Ale serca rozmiłowane poczęły się niepokoić, czując swoją obecność i wytwarzać siłę, co łączyć pragnie...

— W ogrodzie byłam... — przerwała ten krótki nastrój Kwieta — jak tam obecnie cudnie... Słońce zachodzi tak czerwono... Tak cała ziemia tonie w szkarłatnej zorzy, jakby w powodzi złotej... Zygmunt, ja cię przepraszam za swoją nieobecność, wiedziałam, żeś ty tu jest, ale nie mogłam oderwać się od tego słońca... nie gniewasz się? — przybliżyła się doń i ujęła lekko, troskliwie zbandażowaną jego rękę. — Ja wiem, ty się nie gnie-

wasz... — oparła się na nim dobrocią oczu. — Ta ręka pewnie cię boli?

— Nie boli, nie, Kwietuchno... — pochylił się ku niej i ucałował w dłoń ciepłą, jedwabną.

Niedługo, a słońce zgasło.

Skończył się i ubiegł w wieczność jeden z tych dni, co winy odpuszcza, łagodzi ból — i daje szczęście wybrańcom...

VI.

Nie wiedzieć kiedy skończyły się wakacye. Czas ten upłynął szybko, jak grzywa piany, niesiona wartkim potokiem.

Anielcia Ossocka wyjechała do miasta na dalszą naukę, Gąślicz także opuścił wieś w pogoni za doktoratem, została tylko Zosia, bo i Zygmunta nie było w Olszowcu — przed dwoma bowiem tygodniami osiadł w Sądeczyźnie na pięknym dworku, jaki zakupił dla Dolańskiej.

Całe wakacyjne towarzystwo rozwiało się, jak stado ptaków, nie używszy należycie feryjnego wywczasu — ot, zakosztowano go tylko.

Zosia, na prośbę Gąślicza, nie podawała się o posadę wcale, co i matkę ucieszyło wielce. Zresztą sprawy materyalne nie zmuszały jej do szukania chleba, w domu miała go poddostatkiem — zagospodarzeni byli wystarczająco — a i matce było milej mieć przy sobie córkę, mogąc przemówić do kogoś słowo, czy potrzebować do jakiejś pomocy.

Zosia na nudy skarżyć się nie mogła, bywała prawie codzień we dworze, lub Kwieta u niej.

Kochały się jak najlepsze przyjaciółki, uważając się za swoje, niby rodzone siostry.

Wyglądały z utęsknieniem chwili, kiedy będą mogły odwiedzić Zygmunta w jego rezydencyi w Zagaju i spodziewały się tego już niedługo.

Dzień płózł się po dniu dość szybko na odwiedzinach wzajemnych, to rozrywkach, jakie można znaleźć na wsi.

Tak zeszła połowa września i druga zmniejszała się coraz bardziej.

A Zygmunt, zaskorupiwszy się w pięknej, górzystej wiosce, pracował niestrudzenie od świtu od nocy. Przeszło czterystamorgowy obszar ziemi rolnej i takiż wielki szmat lasu, razem z kilkudziesięciu morgowemi łąkami, wszystko to zaniedbane przez poprzedniego właściciela, dźwigał z upadku pełen energii i woli, że ludzie miejscowi poczęli patrzeć na »nowego pana« z podziwem i uznaniem.

Zaraz w pierwszym tygodniu wziął się do zabudowań, kazał oczyścić stajnie i podłogi, wprowadził fachowców do popsutej gorzelni, pomnożył narzędzia gospodarskie i siłę pociągową o kilka par — słowem, na każdem miejscu widać było jego umiejętną i gospodarską rękę.

Ludzie, słysząc wiele o »młodym panu«, szli

chętnie do roboty, co byłemu właścicielowi nie szło tak łatwo.

Wioska, położona w przepięknej, łagodnej dolinie, liczyła do tysiąca dusz. Kościoła w miejscu nie było, parafia znajdowała się o cztery kilometry. Nie bogata gmina zdobyła się zaledwie na trzyklasową szkółkę, rozlokowaną po domach chłopskich.

Dwór widoczny był z daleka, położony bowiem na szerokiej płaszczyźnie pagórkowatego wzniesienia, bielił się niby ogromny biały kwiat pośród szeroko rozsiadłych kęp drzew liściastych i smreków.

Była to miła, dosyć obszerna budowa w swojskim stylu, patrząca poważnie źrenicą ganku, opartego na wyniosłych, kamiennych filarach, dzielących dwór na dwa równomierne skrzydła. Ponad filarami, w rodzaju małego piąterka, było dwa pokoje, zajmowane zwykle przez pokojową służbę. Parter liczył pokoi sześć, trzy spiżarnie i obszerną kuchnię.

Wszystkie zabudowania w całości wyglądały pokaźnie na dostatnią rezydencyę zamożnego obywatela.

Zygmunt, mimo tysięczne sprawy i kłopoty, nie zapomniał i o pokojach. Wprawdzie po dawnych mieszkańcach zostały liczne sprzęty, nawet bogate niektóre i antyczne, jednakże dokupił jeszcze wiele rzeczy, umeblował wszystko na

swój sposób, iż, doprawdy, podziwiać trzeba było pamięć jego o każdej drobnostce i jak mógł, w stosunkowo krótkim czasie, tyle uczynić.

Spiżarkę jedną, przylegającą ścianą do pokoi w prawem skrzydle, zamienił na łazienkę i nowo zrobionemi drzwiami połączył z sypialnią.

Na każdym kroku widać było pedancką czystość, nęcącą lubością nieprzesadnego urządzenia.

Z salonu, mieszczącego się w pośrodku i oszklonego podwójnemi, wchodowemi drzwiami, wchodziło się do pokoju, przeznaczonego dla Kwiety.

Było to istne cacko w stylu renesansowym, pełne przepięknych gratów, rzeźb i emalii.

W urządzenie to włożył najwięcej czasu i starań. Chlubił się tem sam przed sobą, odwiedzając w każdej wolniejszej chwili. Zawsze coś jeszcze poprawił, zmienił, dostawił.

Urządzenie dwóch sypialń przysłano mu z Olszowca.

Jakoż, nie spodziewając się sam, urządził wszystko należycie, brakowało tylko osób, mających się tu osiedlić.

Do Dolańskiej i Kwiety pisywał prawie codziennie, donosząc o nowych postępach i zamiarach. Mimo nawet pracy nie zapominał i o domu, troskliwy był, co się tam dzieje i tęsknił często.

Myśl o Kwiecie stała się u niego prawie chorobliwą. Rwał się do niej każdą wolniejszą chwilą,

ulatał duszą tam do białego buduaru — i szalał z utęsknienia.

Dnie, mimo przeliczne zajęcia, płynęły mu powolnie, ciężko. Jedynej otuchy dodawał mu cel, dla którego pracował i widoczny owoc pracy.

Towarzystwa nie miał tu wcale, prócz proboszcza, z którym spotykał się w niedzielę, a który zwykle zatrzymywał go na obiad. U niego też zasięgał wiadomości o okolicznych stosunkach, mogących być mu potrzebnymi.

Ludność wiejska odnosiła się doń z coraz większym szacunkiem, przychodzono do dworu po porady, nieraz do późnej nocy męczono go różnemi sprawami, prosząc czy to o wymianę zboża, czy pozwolenie paszy na pańskim gruncie, a Zygmunt załatwiał to wszystko ile możności, za co spotykała go wdzięczność na każdym kroku.

Kiedy znużony legł na posłaniu, jak kłoda, przychodziła doń pod klejące się powieki Kwieta, rzęsy do snu muskała miluchną rączką, szeptała ciche, pieszczotliwe słówka o blizkiem szczęściu, otulała ciepłem ramieniem — — i w takich zjawach ułudnych zmorzył go sen, uciszył i ukołysał.

Tak ubiegały doby i tygodnie.

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

Ze wschodem słońca Zygmunt był już na nogach. Wydał dyspozycye służbie i najemnikom,

oczekującym już pod czworakami, wszędzie było go pełno.

Ekonom, stary, wysłużony wachmistrz od kawaleryi, obecnie niezły gospodarz, wysyłał w pole fornalki do rozorywania ziemniaków, krzyczał na ospałych parobków, jakby na wojskowej ujeżdżalni, groził i klął niemiłosiernie, który to sposób skutkował najlepiej jeszcze.

Służba została wszystka po poprzednim dziedzicu, niezła w gruncie rzeczy, ale jak zwykle, trochę leniwa.

To też ekonom Marceli, człowiek z fantazyą iście ułańską, z czarnym, zamaszystym wąsem, sierdził się co niemiara, łajał ile wlazło w biednego robociarza i na tem się przeważnie kończyło.

Podawano sobie w wątpliwość, naturalnie pokryjomu, tą czarność wąsów pana Marcelego, lecz kolor ich jakoś nie bardzo licował z bezczelną łysiną głowy, zakrywaną starannie zapożyczonymi kosmykami włosów od tyłu czaszki i umiejętnie zaczesanymi na goły sufit ku przodowi.

Rzecz prosta, nikt nie odważył się powątpiewać głośno o tych wąsach przy panu ekonomie, bo wiedziano, że spotkanoby się z nie bardzo miłą odprawą ich dumnego właściciela i hodowcy.

Ale przecież zdarzyła się swojego czasu rzecz podobna, a było to we żniwa: Ruda Maryśka, córka podwójciego z Zagaju, stała robotnica przy

dworze, jakoś pod wpływem gorąca nie bardzo zwijała się przy wiązaniu snopów, bo rzeczywiście żar dokuczał niemiłosiernie. Ekonom, obserwujący ją od dłuższego czasu, zauważył, że Maryście coś się dzisiaj nie chce wylewać potu, a tu burza groziła lada chwilę. Czułe nerwy Marcelego nie mogły tego dłużej przetrzymać.

— Psiakrew, Maryśka — huknął — nie marudź, tylko wiąż, bo deszcz na karku!...

Lecz Maryśka, jakby nie wiedząc do kogo te słowa skierowane, wyprostowała się jak na złość i najspokojniej zaczęła podpasywać zapaskę.

Złość zatrzęsła ekonomem.

— Nie marudź, mówię, boginko zatracona i nie stój, jak basista na weselu!... Boisz się, by ci się te rude włosy nie przepociły, co?

Nie wiedzieć czemu, ale stało się, że Maryśka obraziła się bardzo.

— Choć sie mi ta przepocą, ale nie oblezą, bo już takie z rodu... Gorzej, jakby się panu przepociły, bo by z pewnością śwarc z nich zeszedł...

Wkoło rozległ się donośny śmiech i dziwiono się w duszy odwadze robotnicy.

Ekonom poczerwieniał, jak burak.

— Co, psiakrew, coś ty rzekła? Myślisz, że moje wąsy szwarcowane?... Bodejżeś... Popatrz się, małpo afrykańska, co to jest!... — chwycił się za wąsy, jak żyd za towar, którego śmiertelnie zagniewała proponowana cena. Wyklinał, jak nigdy do-

tąd, doskakując do spokojnej Maryśki. Lecz ta, jakby nie słysząc tego, poczęła wiązać pospiesznie, bez najmniejszego lęku.

Po długim czasie ekonom uspokoił się nareszcie. Nawet zrobiło mu się żal Maryśki, bo począł wmawiać w siebie, że ona to pewnie powiedziała w żarcie, lub z kobiecej łapczywości na takie wąsy...

Jakoż dnia tego wieczór zagadnął ją milej, a nawet przeprosił. A że Maryśka, mimo, że miała rude włosy, była dziewką fertyczną, rumianą, jak wiśnia i ognistą, przeto pan Marceli zmiękł jeszcze bardziej i uszczypnął ją gdzieś w okolicy gorsetu, co było u niego pewnem spoufaleniem i przychylną figlarnością.

Rzecz cała skończyła się w ten prosty sposób, że pan Marceli odprowadził nawet Maryśkę do domu, naturalnie w tajemnicy, a że był kawalerem, więc i wypadało to poniekąd...

Od tego czasu był dla niej łagodniejszy i z pewnem ukontetowaniem spoglądał na jej wyraźne kształty, jakby przypominając sobie coś miłego, a wtedy spozierał niespokojnie na niebo i mruczał, że słońce tak ślamazarnie się zniża...

Na podwórzu dworskiem uciszyło się niedługo, pan Marceli porozsyłał robotników w pole i sam się powlókł za fornalami.

Zygmunt wrócił do pokoju i kazał podać sobie śniadanie. Ręce zacierał niespokojnie i spo-

glądał co chwilę na zegarek niecierpliwym ruchem.

Dziś w południe miał mieć gości serdecznych, upragnionych. Wczoraj wieczór otrzymał expressowy list, oznajmiający przyjazd pani Dolańskiej, Kwiety i siostry, na kilkodniowy pobyt. Doczekał się nareszcie tej chwili, oczekiwanej z utęsknieniem i głodem upragnienia.

Rozparł się, a raczej położył się w głębokim fotelu, przyłożywszy dłonie do twarzy.

— Ona przyjedzie dziś, Kwietuchna złota... złota...

Powtarzał w duszy te słowa od wczoraj i pieścił się niemi, jak czemś najdroższem.

Weszła młoda, czysto ubrana służąca, niosąc na tacy śniadanie.

— Słuchaj Wiktuś — odezwał się do odchodzącej — powiedz kucharce, by obiad był nie jak zwykle na trzecią, ale pierwszą godzinę i na cztery osoby. Powiedz, że przyjeżdżają goście, więc niech się nie pokpi! Serwis podać ten nowy, nieużywany, resztę zarządzę sam później.

Służąca wyszła.

Zygmunt nie jadł nic, wypił tylko kawę — nie miał apetytu z nadmiaru wielkiej radości.

Powóz kazał oczyścić, jak i uprzęże, i o dziesiątej wyprawił stangreta na stacyę kolejową. Panie miały przyjechać o wpół do dwunastej.

Czas ten zabijał Zygmunt różnem przygoto-

waniem i nie bywałą liczbą wypalonych papierosów. Cieszył go wzorowy porządek wszędzie i ład gospodarski. Oczekiwanie wydawało mu się wprost wiekiem, wlokącym się ociężale. Co chwilę wybiegał na ganek i patrzył w stronę gościńca. Każdy turkot kół pobudzał w nim gorączkowość i zmuszał serce do niespokojnych uderzeń.

Aż wreszcie dostrzegł na samym już skręcie do dworu powóz i parę ognistych karoszy.

Dech zatrzymał mu się w piersiach chwilowo, wnętrze oblało nagle jakieś nieokreślone uczucie.

Panie z powozu, poznając Zygmunta na ganku, poczęły wiewać chusteczkami.

— Zygmunt!... — zdawało mu się, że dosłyszał słodkie wołanie Kwiety.

Powóz zatoczył się przed ganek. Powitaniu nie było końca. Spotykano się jak po długich latach niewidzenia kochających się osób, po latach tęsknoty i oczekiwania.

Nareszcie udało się Zygmuntowi zaprosić panie do pokoju. Tu znów powtórzyły się nowe wybuchy radości, pochlebstw i zachwytów. Zaglądano w każden kącik, brano do rąk różne przedmioty, ciesząc się niezmiernie z każdej rzeczy, z najmniejszej drobnostki.

Ogromnie spodobało się paniom to milutkie, przeciche gniazdo. Nie miały słów pochwały, by móc wyrazić zadowolenie.

Zygmunt promieniał ze szczęścia.

Goście dopominali się oglądnięcia wszystkiego.

Ponieważ do obiadu była jeszcze chwila czasu, zatem Zygmunt oprowadził panie po całem gospodarstwie. Spotkał się wszędzie z ogromnem uznaniem i podziwem.

Dolańska była wprost zachwycona porządkiem, jaki panował na każdym kroku i radowała się w duszy przyszłym zięciem, jego wiedzą i pracą. Fachowa zdolność Zygmunta odniosła należny sukces.

— Ot, jak na początek, więcej nie można było zrobić — powiadał skromnie, kiedy służąca prosiła na obiad.

— Ależ, taką rujnacyę, jakąś zastał — odpowiedziała mu pospiesznie Dolańska — trzeba było przewrócić do góry nogami i wszystko zaczynać od początku. Boże, aż miło spojrzeć w każdy kąt... Naprawdę, jak się cieszę, że to będzie już wasze... — dodała na uboczu — że to gniazdo będzie wam szczęściem, miłością i cichem, błogosławionem życiem... Och, jak całem sercem pragnę, aby tak było...

Zygmunt w odpowiedzi ucałował ją w rękę. Wiedziała, że to było wszystkiem, co mógł jej powiedzieć ten człowiek młody, pełen zapału, pragnień i porywów. Że więcej powiedzieć nie mógł, bo stał przed życiem — a czyż zależało ono od niego?

Wszak i ona marła z upragnień, łaknęła życia i szczęścia, kąpała się w powodzi uniesień, odurzając się przedsmakiem rozkoszy, a jednak?...

Zwodnicze bywa życie, jak fosforyczne światło na bagnach...

Lecz bywa życie i kwiatem egzotycznym, bywa czarowne, szczęsne...

Słońce stoczyło się z południa nieznacznie, jak rycerz w ognistej zbroi.

Pogoda sprzyjała piękna, złocąc powoli liście drzew, pastelowała je ledwo dojrzanem złotem, cieniowała subtelnymi refleksy i oblewała z dnia na dzień coraz żółciejszą szatą.

Rzeźbiła lekkie zmarszczki, zawijała martwiejące ciałka w jakoweś kształty powyginane bezmocnie, sączyła ostatnie soki z włókien omdlałych nerw, suszyła niewidzialnym bólem i męką utajoną — gasiła życie...

I tak w każdym dniu nowym marły żywoty liści, ciała kurczyły się spazmatycznie i pękały w małe, podłużne szczeliny, skręcały się w postacie ślimacznych muszli, aby niedługo upaść tak na łono ziemi, pogonić z wiatrem na oślep, przegnić w kałuży błota i znów się w bladem słońcu wysuszyć — i iść na nową poniewierkę losu, na noce deszczowe i czarne — póki nie przyjdzie ostatnie zatracenie...

Dziś zamknęła się dla liścianego narodu ostatnia kruża soków — — od dziś zostały skazane

na własną karmę, co zawsze śmiercią głodową się kończy.

Dziś owionęła je pierwsza bladość lęku i suchotniczymi wypieki spoczęła na przerażonych licach...

W przyrodzie czuć było powiew pierwszej fazy jesieni.

VII.

Noc była jasna, miesięczna.

Na ławce ganku siedział Zygmunt w głębokiem rozmarzeniu. Miał tu u siebie trzeci już dzień to szczęście, jakie wymodlił żarem młodzieńczego serca, miał blizko — tu, w tym pokoiku.

Bulgocący potok radości bałwanił się mu w piersiach przelewem rozkosznych fal i pieścił serce przesłodką kaskadą pieśni.

Jakoweś symfonijne baśnie i marzenia szepliły się, niby czarodziejskie pienia, w jego duszy, brały ją w swoje akordy, pieściły i kołysały.

Ale często przychodził nań nieokreślony strach — bał się, by ono szczęście piersi mu w strzępy nie rozniosło, bo czuł je w sobie za dużo, ponad pojęcie.

— Czemżem był do niedawna — zapytywał siebie — ot, synem kościelnego sługi... Żem szkoły przeszedł, to cóż? Wszak je przechodzi tysiące, tysiące...

I pokochałem kobietę-magnatkę, ja syn wyrobnika, syn waryata, zabójcy...

Nie zdobywałem miłości — sama przyszła do mnie z swą harfą... przyszła jak anioł dobroci i szczęścia...

Ten dwór oto, mój jest już dzisiaj, moje te pola, moja ta ziem i las ten mój... wszystko moje...

W głowie nie mogła mu się pomieścić ta myśl ogromna.

Wstał i poszedł wolno na tył dworu. Zaraz tu zaczynał się las i ciągnął się potężną oponą coraz wyżej na stok góry, jakby zawiesił się na jej rozciągłej pochyłości.

Teraz ta wielopienna armia drzew tonęła w poświacie księżycowego blasku wprost fantastycznie.

Zygmunt stanął i patrzył na ten czar, nie mogąc oderwać oczu.

— I to wszystko jest moje... — szepnął jeszcze i przymknął powieki. Bo chciał, aby tą żywiołową myśl skupić w mózgu, stanąć przed nią w całej swej mocy, zmierzyć się z nią i zmusić, by mu uległa, jak służebnica, aby się stała przedmiotem jego woli, uciszyć ją w sobie i mieć ją, jako inne, zwykłe, powszednie.

Po krótkim czasie Zygmunt powrócił znów na ganek. W oknach w drugiem skrzydle było ciemno. Panie spały po wczorajszej i dzisiejszej wycieczce, znużone górskiemi ścieżkami, do jakich nie były przyzwyczajone.

Zygmunt, mimo utrudzenie, nie spieszył się do

spoczynku, objęło go jakoweś roztargnienie i dziwne uczucie. Począł rozmyślać nad tem, gdy wtem zgrzypnęły w salonie drzwi i za parę sekund dotknął ktoś klamki ganku. Zdziwiony zwrócił się nagle ku drzwiom, gdy te otwarły się, ukazując postać kobiecą.

— Zjawisko, spostrzegłszy niespodziewanie kogoś na ganku, cofnęło się prędko do wnętrza.

— Kto to? — zapytał Zygmunt półgłosem.

— Och, tak się wystraszyłam... — białe zjawisko dopadło do Zygmunta i rzuciło mu się na szyję.

Była to Kwieta.

— Toś ty? Przecieżeś już spała...

— Czekaj, niech nabiorę tchu... myślałam na ciebie, że to jaki złodziej...

Zygmunt nie puszczał jej z ramion.

— Tak, już poszłam spać, ale nie mogłam zasnąć. Prawie księżyc zajrzał w okno i spłoszył sen do reszty. Myślę sobie: pójdę na ganek, posiedzę trochę, noc taka piękna... Tu w naszem gniazdeczku nie rozkoszować się taką nocą, nie napoić się nią — byłoby grzechem. Nie przypuszczałam, żeś ty jest...

— Kiedy mi zmarzniesz, dziecinko, tyś jest lekko ubrana, zaziębisz się, noc dosyć chłodna...

Rzeczywiście miała na sobie tylko lekki szlafroczek.

— Nie zmarznę, przytulę się do ciebie i bę-

dzie mi ciepło. Widzisz tak... — pociągła go na ławkę i objęła ramieniem.

— A Zośka śpi?

— O, już dawno. Powiadam ci, tak chrapi, że aż się bałam... — śmiała się cicho. — Musiałam do sypialni mamusi zamknąć drzwi, by jej nie obudziła...

— Kwieteczko, może ci przynieść pled? — spytał troskliwie.

— Ale mówię ci, że nie potrzeba. Tak jest mi ciepło i dobrze. Boże, jak tu pachnie... — spojrzała przed się na ginącą gdzieś w mroku dolinę, zlaną obecnie miesięcznem światłem.

— Czy piękniej tu, jak w Olszowcu?

— Och, stokroć piękniej... Tam tylko równiny i równiny, a tu, gdzie spojrzysz, góra, każda inna i piękniejsza... Tu jest czarownie...

— Koło Wołkowic też zaczynają się już pogórza.

— Wiesz — przerwała prędko — dobrze, żeś mi przypomniał Wołkowice. Wiesz, kto przyjechał i był u nas?

— Może młody Ruczewski?

— Tak, zgadłeś! Pomyśl, tego człowieka minęła kara i powrócił... To jest straszna niesprawiedliwość! — oburzyła się niewinną duszą. — Dzień przed naszym wyjazdem przyjechał do nas, jakgdyby nic nie zaszło, był wesoły, ale nie zabawił długo, ani tyle cobyś przypuszczał... Mamu-

sia, jak mogła podtrzymywała rozmowę, bo ja się co chwilę zapytywałam czemu poranił cygana, dlaczego uciekł, a on się aż płonił... Co prawda, postąpiłam niedelikatnie, ale nie mogłam inaczej, bo nie znoszę tego człowieka — och, strasznie! Naturalnie posiedział chwilkę i, nie mając innego wyjścia, skłamał, że tylko wstąpił na moment w przejeździe do urzędu telegraficznego, gdzie musiał rzekomo nadać ważny telegram.

— Dawno powrócił ten ananas?

— Podobno parę dni temu.

— To okropne, by władze tolerowały takie zbrodnicze czyny...

Uczuł jakiś niesmak wewnętrzny, przechodzący w obrzydzenie.

Zamilkli obydwoje na chwilę.

Księżyc usuwał się pomalutku z ganku, pociągał za sobą blaski i za niedługo skrył się za scianę dworu.

Kwieta tuliła się coraz bardziej do ramienia Zygmunta, opowiadając mu tęsknotę swoją, jak oczekiwała na każden jego list, jak całowała każde słówko...

A on dziękował jej pieściwymi całusy i tulił do piersi to przerozkoszne dziewczę, tulił zachłannie. Odczuł, że drży mu w ręku.

— Zimno ci?

— Trochę już zimno — rzekła.

— Spać pójdziesz, prawda Kwieteczko?

— Nie, nie pójdę jeszcze. Ja chcę być przy tobie, Mundeczku, wieczniebym chciała mówić z tobą, być razem...

— To może pójdziesz do mnie, co, zgodzisz się?

Kwieta zawahała się na chwilkę. Nie wypadało iść do niego o tej porze, samej jednej. Ale chciała być przy nim, tonąć w jego uścisku, gasnąć od pocałunków.

— Pójdę, ale na moment tylko... To tak nie wypada, że aż się wstydzę... Lecz chodźmy — wyrzekła ledwo dosłyszalnie i powstała z ławki.

Weszli do Zygmuntowego gabinetu.

Światło nocy wpadało tu przez niezasuniętą storę, czyniąc nastrojowy półmrok.

W rogu stała duża, stylowa otomana, nakryta niedźwiedzią skórą.

Usiedli na niej.

— Ty tu pracujesz w tym pokoju, prawda?

— Tak. Tu załatwiam rachunki, przyjmuję raporty. Tu przy tem biurku pisywałem do ciebie listy... Tu myślałem o tobie, patrząc na tą oto fotografię... Och, com ja tu myśli przerzucił, co pragnień przeżył, przetrawił..

Kwieta zarzuciła mu dłonie na szyję i przylgnęła doń ciałem, spragnionem pieszczot, gorącem...

— Zygmunt, ja chyba umrę z tej miłości... ja cię tak kocham strasznie, do obłędu... do szału...

do niepamięci!... — wymówiła te słowa prędko, urywanie, namiętnie.

Szczęście dławiło ją w gardle i zapierało dech niby boleśnie, a słodko.

Ilekroć razy tylko zapadła w głębszą myśl o Zygmuncie, zawsze porywała ją ta błoga duszność, rozpierała piersi jakowymś ogniem nieokreślonym, a łaknącym czegoś ogromnie, żywiołowo.

Ogień ten gorzał w niej nieustannie, a teraz podniecony uściskiem męskich ramion buchnął pożarem gwałtownym, jak burza.

Orkan podnieconych uczuć uderzył teraz weń, jak w kwietną łodygę, która nie znała jeszcze większego wichru i cięć gradowych.

Nigdy nie tuliła się doń z taką mocą, jak dziś, dlatego może, że przedtem nie był dla niej tak własny, za jakiego uważała go dziś...

I dziś o jej miłości wiedzą już ludzie, nikt jej nie zabrania, nie może...

Czuła się jego i po niewidzeniu dłuższem była przy nim, w objęciu jego mocnem, kochanem...

Krew nabiegła jej żyły i wyprężała jak struny, biła do głowy namiętną falą i przyćmiewała wzrok.

Po jądrach piersi począł przebiegać szczypiący dreszcz, gnieść je i naprężać, palić...

Pochyliła się na Zygmunta w pół bezwładności, rozchylając usta, niby kielich nektarny. Malinowe

wargi przybrały naraz barwę karminu. Zdawało się, że krew z nich tryśnie kropelkami i płomykiem zapali się na licu. Rozkosz ubezwładniała ją, odbierała siły i pamięć.

Zygmunt podtrzymywał ją na ręku, jak tajemniczy kwiat, wyrwany z łona niedostępnej tajgi boru, i tulił, cisnął ku sobie chciwie, przechciwie...

Znalazł wilgotne, rozchylone usta, żarną ich słodycz i wpił się w nie, jak w czarę, wszystkiem głodem pragnienia nienasytnego — i ssał z nich nektar, ssał... ssał...

A ona poddawała mu się, jak lekki płatek, bez drgnienia oporu, przeszkody...

Myśli poczęły mu się mroczyć, gmatwać i gasnąć.

Czuł, że porywa go szatańskie pragnienie i dzika żądza, że zmysły tracić poczyna — — oderwał się od jej warg, chciał oprzytomnieć.

Kwieta nabrała w płuca tchu i otworzyła senne, zamglone oczy.

Zygmunt przykuł się do niej harpunami źrenic i patrzył błyskawicowym ogniem, z którego, zda się, skry biegły...

W momencie tym ugodziła weń myśl, jak piorun, straszna, przemocna...

Poczęła kusić czartowsko, nieobronnie. Zdawało mu się, że widzi płomieniem ócz, jak myśl ta rozrywa szaty na Kwiecie, obnaża przecudne,

nęcące ciało, wabi i ciągnie rozkoszą, słodyczą nagości oślepia i rwie ku sobie demoniczną mocą, jakgdyby śmierć, jak zatracenie...

— Nie!... nie!... — jęknął w duszy, uchwycił oddech, chcąc gwałtem wyrwać się potędze żądz, piekłu omamień... — Nie plam, bo ten kwiat święty, niewinny, boski!... — krzyczał mu w uszy opiekuńczy anioł i, zda się, zwyciężył chwilowo.

Zygmunt zerwał się z otomany, cofając się, jak przerażony w tył.

Puszczona Kwieta padła w oszołomieniu na wznak i, jak omdlała, rozkrzyżowała ręce bezwładnie. Twarz zasłonięta w kaskadzie rozpuszczonych włosów, wyglądała jak w śnie głębokim. Poza, w jaką złożyło ją odurzenie, stała się krytyczną siłą...

W oczy Zygmunta wtłoczył się mózg, jak się zdawało, wszystka namiętność i krew.

Lecz byłby się może oparł pokusie huragannej, gdyby nie słowa Kwiety, co właśnie z ust jej wybiegły, niby sen cichy, niesiony na skrzydłach motyla, rozkoszny, słodki...

Oto te usta otwarte, anielskie, wyszeptały teraz jego imię tak łaknąco, najsbutelniejszym tonem słodyczy...

Niewidziana moc uderzyła go młotem w czaszkę i ogłuszyła zupełnie. Nerwy wstrząsnęły się i zatargały — — szał go uchwycił, przemógł — i pchnął...

Dopadł leżącej i runął przy inej, jak powalony posąg. Chwycił jej głowę w rozpętane dłonie i począł całować nieupamiętanie włosy, usta, policzki, szyję... Jednym ruchem rozerwał szatę i przywarł twarzą do gołych piersi strasznym, nieoderwanym pocałunkiem...

Zatracił świadomość mózgu, opętało go uczucie, że leci w jakąś przepaść bezdenną, w morze płonącej lawiny i niepojęte głębie...

Zlał się z jej ciałem w jakieś szalone misteryum...

Rozkosz zadławiła mu dech i powstrzymała puls serca.

Nieokreślony strach przebiegł nagle po ciele Kwiety... Ale nie miał na tyle władzy, by oprzytomnić ją i przebudzić... zatrząsł nią tylko silnym dreszczem, drgnął raz — drugi — — i zginął — — — jak słaby płomyk wrócił jeszcze... nerwy musnął rozkosznie... dotknął się ich, niby łabędzim puchem — — — i rozpłynął się po ciele słodycznem tchnieniem...

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

...Spełnił się Sabath, jako Święto nieustannego Życia w świątyni Miłości-macierzy...

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Z blado gwiaździstego nieba znikł księżyc. Zrobiło się nieco szarzej na ziemi i mętniej, za-

słonki jakoweś misterne roztuliły się wszędzie, jak mroczna mgła, i wisiały, niby przepalona przędza tkanin powiewnych, lotnych.

Trwała ta szarość jakiś czas, rozsiewała się i nikła, malała.

Gwiazdy gasły. Usuwały się w głębie przestrzeni coraz mniej widoczne, coraz bledsze.

Gdzieś na odległych krańcach począł się stwarzać dzień.

W kącie, na rogu otomany siedział Zygmunt. Twarz miał ukrytą w dłoniach, splecionych w kurczowym ścisku. Siedział tak już godzinę w tej pozie nieruchomej — od czasu, jak poszła ona...

Przyciszona krew i zmysły uspokojone odsłoniły teraz przed nim otchłań zawierusznej męki i widmo rzeczywistości.

Jądrem tej zachłanności męczącej była chwila niedawna, obłędna — był on grzech...

I wraził mu się w mózg, w serce i oczy, jak tępy miecz, co jawiąc się — przeraża, a potem w ciało się pcha, rozpruwa je wolno, a niechybnie, rozsadza, targa...

Groza czynu, jakiego dokonał, on, człowiek mocny i, jak rzymianin dawny, szlachetny, otworzyła przed nim spiżowe dźwierze występku i zmusiła patrzeć nań wszystką wiedzą i duszą, wszystkiem uczuciem.

I porwała go rozpacz nieprzebłagana, straszna i nienawistna.

Brała go w żelazne chwyty za bary i gniotła w tym wulkanie zła, aby zadławić go niem, zbrodnicze wnętrze pożreć mu ogniem na węgiel, spopielić je i roztrząść potępieńczymi rozmioty...

Zygmunt kurczył się pod tym uchwytem, oganiał, bronił rozpacznie.

W przelękłych oczach stała mu nieustannie ona... sponiewierana, zbeszczeszczona...

I w krzywdzie onej wydała mu się jeszcze świętsza i droższa — bo stała w szacie współwiny, z której on mógł ją wyrwać, wybawić.

Powinien!...

Nie! nie mógł!... To ponad siły było człowieka, ponad wolę — — ta wina nie była winą — ale miłością!...

Zygmunt odsłonił twarz. Blada była, jak wypłowiała ściana, zmęczona, biedna.

Oczy wpadnięte w głąb czaszki, zdawało się, że żyć przestały.

Trupie, martwe wypieki szkliły mu się na policzkach, jak porcelana brudna.

Szarpał go ból i jadł... jadł...

Moc go odpadła, że wyrwać się z tej otchłannej czeluści nie mógł, nie potrafił.

Martwiał.

Noc już minęła.

Przygasłym apatycznym wzrokiem spojrzał męcząco ku oknu.

Na dworze dzień się poczynał zwiastowaniem rumianej zorzy. Ziemia oczekiwała wschodu w skupieniu, jak cudu.

Zygmunt uczuł jakby mu w duszę wpadł dobry promyk, maleńki, łagodzący.

Przyszedł doń niespodziewanie i powiał wachlującym listkiem zbolałe serce nadzieją ulgi...

Rozpłynęła się zorza przemożnie, buchnęła jasność — — i wstało słońce.

Zygmunt podniósł twarz wyżej i patrzył... patrzył...

Oto uchwycił duszą, że z serca słońca wyszedł Anioł dobroci, jeziorami błogosławiących oczu spojrzał na przebudzoną ziem — i trwał tak chwilę, jakby w zachwycie, albo zadumie cichej.

Roztęczył się symfonijnie, łagodnie i, z ramion dobrotliwem wyciągnięciem, począł spływać na ziemię, na Golgotę ludzkich łez, rozpaczy i smutku.

Te dłonie święte, białe, uczuł Zygmunt na przepalonej piersi — i z ulgą słodką odetchnął...

A dobry Anioł otulił go ramieniem ciszy, przycisnął do rozkosznego łona i niebiańskiemi usty szeptał ukojnie:

— »Odpuszczona jest ci wina, boś umiłował bardzo...« Ktokolwiek kocha prawdziwie — nie grzeszy... nie upada — kto z sercem idzie...

Pierś Zygmunta podniosła się swobodnie, radość opromieniła mu źrenice, duszę szczęśliwość.

Słuchał Anioła słów w skupieniu wielkiem — i rósł, potężniał, olbrzymiał...

— ...Oto się ziszczą pragnienia twoje i, nim miesiąc trzykroć ziemię okrąży, wejdziesz w świątynię twórczego życia, aby siać Miłość i ziarna na plony Bytu... Idź z świętością błogosławieństwa mego — — z wiarą mocną i nieugiętą — — przed tobą Życie — — — idź!

Rozwiała się niebieska światłość, Zygmunt zerwał się z jakąś nadprzyrodzoną mocą w duszy.

Potęgą myśli zatoczył krąg i jak Tytan spojrzał w oblicze onego Życia...

I rozciągnęła się wtedy przed nim niwa szeroka, długa, w szacie źrałego zboża...

Ze złotych, pszenicznych fal wypłynęła anielska postać Kwiety, jako ułuda jasna, urocza, stanęła przed nim w kłośnych girlandach — — i wyciągnęła doń dłonie białe i dobre — — — dłonie przymierza — — —

Na dworze pysznił się świeży, pogodny dzień.

Nowy Sącz — Borzęcin 1917 r.

KONIEC.